MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 11. WARSZAWA, 6 MARCA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

WŁADZA DYKTATORSKA MINISTRA

ZASADNICZYM motywem obu ministerjalnych projektów nowej organizacji szkolnictwa jest z jednej strony straszliwa nieufność do wszystkiego, co nie jest Rządem, a więc do Senatów akademickich, zrzeszeń nauczycielskich, wszelkich ciał samorządowych, przedewszystkiem zaś do wszystkich przyszłych sejmów — z drugiej strony „wściekłe ryzykowanie“ i buńczuczna wiara w bezwzględną nieomylność ministrów oświaty. Najczęstszem słowem, powtarzającem się kilkadziesiąt razy w naogół krótkim tekście projektów, jest słowo: Minister. Ma on prawo zmieniać dotychczasowe ustawy, ustanawiać nowe programy, tworzyć dowolne typy szkół, zamykać szkoły prywatne, usuwać długoletnich dyrektorów i nauczycieli i t. d.— słowem jest to dyktator oświatowy, wyposażony w taką potęgę, jakiej nie spotyka się w żadnem a żadnem państwie współczesnem.

W toku dyskusji w sejmie p. wiceminister Pieracki, broniąc tezy rządowej, przypominał, że już niejednokrotnie sejm zrzekał się swoich praw ustawodawczych, udzielając poszczególnym ministrom, zwłaszcza ministrowi skarbu, pełnomocnictwa do wydawania rozporządzeń z mocą ustaw. Tak — to prawda — ale pełnomocnictwa te były udzielane na ściśle określony, dość krótki, okres czasu i dla spraw nie cierpiących zwłoki, których szybkie uregulowanie było nakazem praktycznego rozsądku i rozumienia bezpośredniego interesu Państwa. Takie warunki miały pełnomocnictwa, udzielone niegdyś rządowi Władysława Grabskiego, jak też i pełnomocnictwa, uchwalone w r. 1926.

Otóż każdy musi przyznać, że przy obecnie uchwalanych ustawach żaden z tych warunków nie ma miejsca. Ustawy te bowiem ani nie określają czasu, ani też nie jest spełniony warunek, odnoszący się do konieczności natychmiastowego regulowania piekących spraw. Jeżeli już gdzie, to w dziedzinie ustawodawstwa oświatowego wszelka rozwaga, a nawet powolność, są pożądane. Wprowadzenie w życie nowej myśli pedagogicznej, jakiejś zmiany zasadniczej w programie szkolnym czy organizacji szkolnictwa, powinno być wynikiem długich roztrząsań teoretycznych i równoczesnych doświadczeń praktycznych.

Odroczenie jakiejkolwiek reformy szkolnej, o rok, czy o dwa lata, nie jest nieszczęściem, natomiast jest niem dokonanie reformy zbyt pośpiesznej i nie liczącej się z przekonaniem społeczeństwa. Niebezpieczeństwo to jest tem groźniejsze, że skutki nieopatrznej reformy w szkolnictwie nie są odrazu widoczne, rosną one zwolna i cała ich smutna konsekwencja występuje często dopiero po kilkunastu latach, kiedy pokolenie, wychowane w nowej szkole, dochodzi do pełnoletności i zaczyna odgrywać rolę w życiu społeczeństwa.

Pamiętają o tem wielkie narody zachodnie; to też każda zmiana, nawet drobna, w ustroju szkolnictwa jest tam poprzedzona długiemi debatami całego społeczeństwa, że przypomnę kilkudniowe rozprawy we francuskiej izbie posłów nad wprowadzeniem łaciny w pewnym typie gimnazjów, lub namiętne dyskusje w parlamencie austrjackim i niemieckim nad przebudową szkolnictwa. Jeżeli przykłady zachodnich narodów i teoretyczne rozważania nie zdołały powstrzymać Rządu i większości obecnego sejmu od uchwalenia praw dyktatorskich dla ministra i wzięcia na siebie przez to wielkiej odpowiedzialności wobec dalszych pokoleń, to naprawdę ze zdumieniem pytamy się, gdzie jest źródło tej niezachwianej pewności w słuszność swego stanowiska, tego tragicznego zadowolenia z siebie, tego uśmiechania się do swoich rzekomych zasług, tej nieograniczonej ufności nietylko w swój rozum, ale i w rozum wszystkich przyszłych ministrów.

A jednak nic nie jest tak pewnego, jak to, że ministrowie, jako ludzie, są omylni, zmieniali się i zmieniać się będą często, że każdy z nich ma swój odrębny sposob patrzenia na szkołę. Strach pomyśleć, jakie wstrząsy przechodziłaby szkoła polska, gdyby każdy z poprzednich ministrów (a nie brak było wśród nich mądrych ludzi) mógł, w ciągu swego kilkunasto- a niekiedy nawet kilkumiesięcznego ministrowania, po dyktatorsku,

według swoich osobistych przekonań, szkołę reformować.

Stały zamęt zapanowałby wówczas. Jako przykład niech posłużą dzieje jednego tylko zagadnienia. Tyczy się ono ilości lat nauki w nowej szkole średniej i tempa zamykania niższych klas gimnazjalnych. W przeciągu 12 lat nasi ministrowie wypowiadali w tej sprawie zdania najrozmaitsze, często wprost sobie przeciwne.

Ale poco mamy sięgać do dawnych lat. Zwróćmy uwagę na czasy tylko po roku 1926, kiedy zmiany ministrów nie były wywoływane przez nowe ugrupowania partyjne, kiedy fotel ministerjalny zajmowali ludzie, należący do jednego i tego samego, ścisłego koła politycznego. Otóż ci ludzie, zdawałoby się, bardzo jednolici i zgrani, mieli również w tej sprawie sądy rozbieżne. Minister Dobrucki oświadczył się wyraźnie za pięcioletniem gimnazjum i pragnął przystępować do stopniowej likwidacji niższych klas gimnazjalnych. Na szczęście silne protesty społeczeństwa sprawiły, że próby te były stosunkowo nieliczne. W cztery lata później, wiceminister Pieracki stwierdza, że „istniejące tu i owdzie gimnazja pięcioklasowe nie wytrzymały próby życia, że należyte przeprowadzenie programu gimnazjalnego wymaga sześciu lat". Znów mamy aprioryczne postawienie sprawy, jeżeli chodzi o sześć lat, ale tym razem nie jest ono w swych skutkach tak niewinne, gdyż stanie się ono ustawą i może zawisnąć fatalnie nad całością szkolnictwa średniego. I znowu może się zdarzyć, że za jakie cztery lata nowy minister oświaty zechce powiedzieć, iż istniejące gimnazja sześcioklasowe „nie wytrzymały próby życia", tylko niestety, będzie się to odnosiło do wszystkich gimnazjów państwowych i prawie wszystkich prywatnych, a nie tylko do „istniejących tu i owdzie" i w tem leży cała tragiczna różnica między rozumną metodą doświadczalną a „wściekłem ryzykanctwem".

Inny przykład zmiany przekonań o tem samem zagadnieniu pochodzi z czasów jeszcze nam bliższych. W listopadzie 1928 r. ówczesny minister oświaty, a obecny marszałek sejmu, p. Świtalski, a więc czołowy reprezentant całego kierunku rządowego, tak mówił na zjeździe delegatów Związku N. Sz. P.:

„Mam to głębokie przekonanie, że realizacja szkoły jednolitej w Polsce zależeć będzie przedewszystkiem od poziomu, na jaki się wzniesie polska szkoła powszechna. Nie wystarcza tu rozporządzenie czy propaganda. Żaden odpowiedzialny za swe decyzje minister, żaden myślący o przyszłości Państwa Rząd nie zdecyduje się na przeprowadzenie szkoły jednolitej, jeżeli miałoby to być połączone z ogólnem obniżeniem kultury narodu. Tylko więc pod tym warunkiem, że szkoła powszechna stać będzie na poziomie co najmniej równym temu, jakiego musimy wymagać od niższego gimnazjum, można myśleć poważnie o wprowadzeniu w życie zasad szkoły jednolitej. Realizacja jednolitej szkoły budzić może i zastrzeżenia. Najważniejszem—to obawa, czy nie ulegamy tu pasji tak popularnej w Polsce, chęci tworzenia czegoś najlepszego, najdoskonalszego, co w naszych warunkach często wrogiem lepszego i dobrego się staje".

Nie minęło jeszcze cztery lata, jak były wypowiedziane te mądre i ostrożne słowa przez człowieka, któremu, jak wiadomo, nie brakuje pewności siebie i żyłki ryzykanckiej, lecz który, mimo wszystko, rozumiał, że w sprawach szkolnych należy być bardzo przezornym.

Nastąpiły lata próby. Kuratorja polecały przyjmować uczniów z siódmej klasy szkoły powszechnej do czwartej klasy gimnazjalnej, otaczać ich specjalną opieką; w niektórych okręgach tworzono nawet czwarte klasy odrębne dla absolwentów szkół powszechnych. Trzeba przyznać, że było to metodyczne i mądre eksperymentowanie w celu przekonania się, czy już można odważyć się na zniesienie niższych klas gimnazjalnych. Otóż okazało się wszędzie, że uczniowie, byli powszechniacy, stoją znacznie niżej od swych kolegów, kończących normalnie trzy klasy gimnazjalne. Różnice były wprost rażące. Wszyscy bez wyjątku, nawet gorliwi apostołowie szkoły jednolitej, zgadzają się, że ci nowi przybysze obniżają poziom nauki gimnazjalnej. Jeżeli są jakieś odcienie w opinji nauczycieli, dyrektorów czy wizytatorów, to odnoszą się one raczej do wyjaśnienia przyczyn tego stanu rzeczy, mianowicie zwolennicy szkoły jednolitej tłumaczą go „ciągle jeszcze lichym stanem nauki w szkołach powszechnych".

Mniejsza o to, czy takie wyjaśnienie jest słuszne, czy nie (zdaniem mojem, jest ono tylko uporczywem podtrzymywaniem błędnej teorji), ale w każdym razie minione trzechlecie stwierdziło ponad wszelką wątpliwość, że, wyrażając się bardzo umiarkowanie, szkoła powszechna nie stoi „na poziomie co najmniej równym temu, jakiego musimy wymagać od niższego gimnazjum".

I cóż się dzieje? Wbrew tym wymownym przestrogom znalazł się „odpowiedzialny za swe decyzje Minister", który zdecydował się już w tym roku zamykać we wszystkich gimnazjach pierwsze klasy, że „znalazł się myślący o przyszłości Państwa Rząd", który poparł tego Ministra, i wreszcie — dla tem pełniejszej ironji — marszałkiem Sejmu, popychającym usilnie posłów większości, wśród których wielu widzi niebezpieczeństwo, do jak najszybszego uchwalenia gwałtownej reformy, — jest tenże sam p. Świtalski, który przed trzema laty, jako minister, tak wymownie i mądrze przestrzegał przed wszelkim pośpiechem.

PIOTR KOWALSKI

O JUDOFOBJI I ZDROWEJ IDEI PAŃSTWOWEJ

„JUDOFOBJA („antysemitizm") nie jest już dzisiaj taktyką — u ciemnych sił w czasach obecnych jest ona wiarą, fatalną wiarą, czarną wiarą, przeciw której każda zdrowa myśl państwowa musi zgłosić sprzeciw..." („Moment" Nr. 17, 1932 r.).

Tak pisze znany publicysta żydowski p. Józef Haftman, jeden z najwybitniejszych publicystów z obozu syjonistycznego, a więc tego obozu, który dąży przecież do odbudowy własnej państwowości żydowskiej w swoim kraju historycznym i który dąży, wobec tego, także do usunięcia z tego kraju obcego żywiołu — Arabów, jako okupantów jego ojczyzny.

Każdy szczery syjonista — a nikt chyba nie wątpi o szczerości idei syjonistycznej autora powyższych twierdzeń — musi być zatem „arabofobem", przynajmniej w stosunku do tej części ludności

arabskiej, która zamieszkuje historyczne ziemie żydowskie.

Inaczej nie może być.

Dlaczego przeto arabofobja nie jest objawem zdrożnym, a judofobja jest?

Dlaczego judofobja jest „czarną wiarą“, zaś arabofobja nie jest nią, a jest jakoby „białą wiarą“?

Dlaczego judofobi stanowią kadry „ciemnych sił“, zaś arabofobi składają się na kadry „jasnych sił“?

Czy niechęć szerokich mas narodów rdzennych do żydostwa, zalewającego ich kraje ojczyste, czyli ich judofobja, jest objawem nienaturalnym, niemoralnym, a więc w zasadzie karygodnym?

Chyba p. dr. Chaima Żytłowskiego, uczonego żydowskiego z Nowego Yorku, jednego z najwybitniejszych wodzów żydowskich w zakresie światowym, nikt nie zdoła posądzić o... judofobję. A właśnie on w swoich „wspomnieniach“ z lat ubiegłych, w maju 1930 r., m. in. pisał: „dla mnie osobiście ideologja kosmopolityczna przez pewien czas była kojącym balsamem na ranę, którą ja, oczywiście, odczułem w swojej duszy, odkąd mi wyjaśniono, że my, żydzi, pędzimy żywot pasożytów. Żydzi są pasożytami („*paraziten*“)...“ („Moment“ Nr. 113, 1930 r.).

Zdaje się, wyraźnie.

P. dr. Teodor Herzl, wódz syjonistyczny, stwierdził: „kwestja żydowska istnieje wszędzie, gdzie tylko znajduje się większa liczba żydów, a tam, gdzie jej jeszcze niema, przywożą ją z sobą imigranci żydowscy“. („Państwo Żydowskie“, wyd. Jardenji, Warszawa 1917 r., tłum. polskie, str. 15).

P. Salomon Lurje, uczony żydowski w Rosji, na podstawie badań historycznych judofobji w czasach starożytnych stwierdził: „przyczyna judofobji tkwi śród samych żydów, innemi słowy, judofobja nie jest zjawiskiem przypadkowem, ale wynika z różnicy pomiędzy całem jestestwem duchowem żyda i innych narodów...“ („*Antisemitizm w drewniem mire*“, wyd. Grebin'a, Berlin-Petersburg-Moskwa, 1923 r., w języku ros., str. 7).

Również wyraźnie.

P. Icchok Grübaum, przewodniczący C. K. org. syjon. w Polsce, w swoim referacie w Lublinie, w listopadzie 1929 r., po podkreśleniu, że naród żydowski w warunkach rozproszenia jest narodem chorym, m. in. powiedział: „chorego nie można wiecznie tolerować. Nawet ojciec lub matka, jeżeli są stale chorzy, stają się ciężarem. Narody nie mogą nas znieść. My zarażamy („*ferpesten*“) powietrze, jako naród chory...“ („Moment“ Nr. 272, 1929 r.).

Zdaje się, już zupełnie wyraźnie, tem więcej, że to zdanie wypowiedziano w Polsce, gdzie każdy z pośród rdzennego społeczeństwa odczuwa ten stan „zakażenia powietrza“ w naszym kraju. Dotąd brak tylko było tak miarodajnej djagnozy choroby, zalewającej kraje diaspory wogóle, a Polskę w szczególności.

Trzeba pamiętać, że takich chorych ludzi, z powodu utrzymywania przez naród żydowski nienaturalnego stanu diaspory, jest w Polsce zgórą... 3 miljony.

A zatem, przyczyna judofobji tkwi w samych żydach, nawet według opinji samych żydów, którym tego rodzaju wyznania o sobie, jak wiadomo, nie przychodzą łatwo.

A jeżeli takie jest źrodło judofobji, to ten objaw śród narodów rdzennych nie powinien być uważany chyba za zdrożny, nie powinien być „karalny“. On powinien znaleźć poparcie ze strony czynników, postawionych, zdawałoby się, na straży interesów narodów rdzennych.

A publicysta żydowski stoi na stanowisku, że „zdrowa myśl państwowa“, ma się rozumieć obca, a nie żydowska, wymaga walki z judofobją, czyli walki z reakcją zdrowych ludzi przeciw zapowietrzaniu ich środowiska przez osobników chorych.

Czy na podstawie opinji choćby tylko wyżej przytoczonych żydów nie wypływa ten jasny wniosek, że idea państwowa, aby była „zdrową“, właśnie naodwrót, **nie może zawierać w swoim programie walki z judofobją?**

K. R.

UDOSKONALENIE USTROJU SPOŁECZNEGO

(Z POWODU ENCYKLIKI OJCA ŚW. PIUSA XI „QUADRAGESIMO ANNO“)

Niewątpliwie najbardziej „nową“, najwięcej śmiałych wypowiadającą myśli, jest trzecia część Encykliki „*Quadragesimo Anno*“. W niej Pius XI, rozwijając zagadnienia, powstałe w życiu społecznem w ciągu tego bogatego w wypadki okresu, jaki nas dzieli od wydania „*Rerum Novarum*“, wychodzi poza stanowisko tej Encykliki. Aby krótko ująć, co mamy na myśli, zanim poprostu przytoczymy omawiane ustępy, wypadnie stwierdzić, że Leon XIII w ujęciu sprawy społecznej pozostał w swej głośnej Encyklice w obrębie zagadnień społecznych, obchodzących człowieka indywidualnie, co do jego potrzeb materjalnych i moralnych, gdy tymczasem Pius XI wchodzi śmiało na grunt zagadnień życiowych zbiorowego ciała społecznego jako całości organicznej. Celem ostatecznym pozostaje zawsze dobro duszy ludzkiej — tego Ojciec św. oczywiście nie pomija, ani nawet w cień nie usuwa, niemniej zakres spraw omawianych przez niego dowodzi, jak silnie odczuwa, że dobro człowieka, zwłaszcza jego dobro duchowe, związane jest ściśle z rozwojem jego instynktów i dążeń społecznych, że poprostu nie może ono urzeczywistniać się bezpośrednio, lecz tylko drogą okrężną niejako, poprzez organizację i dzieje rozwoju ciała społecznego, ożywionego jednym duchem. Że Pius XI, uważając się za dziedzica myśli i troski Leona XIII w jego dziele odnowienia społeczności chrześcijańskiej, niemniej jest świadom odstępu, jaki istnieje między „*Rerum Novarum*“, a „*Quadragesimo Anno*“, tego dowodem uwydatnienie przez niego wielkich różnic, zachodzących w dziedzinie gospodarczo-społecznej między stosunkami za czasów Leona XIII, a w chwili obecnej, co oczywiście wymaga także myślowego traktowania zagadnień w innem jeszcze oświetleniu.

Pius XI naucza w tej części Encykliki, iż aby dzieło odnowienia i udoskonalenia społecznego

ustroju rozwinąć i utrwalić „dwóch potrzeba czynników: reformy urządzeń i poprawy obyczajów".

„Mówiąc o reformie urządzeń, mamy na myśli głównie państwo, nie jakoby od jego działania spodziewać się należało całego ratunku, lecz z tego powodu, iż wskutek wspomnianego już, a nieszczęsnego „indywidualizmu" doszło do tego, że owo bujne i ongi przez rozliczne związki świetnie rozwinięte życie społeczne obecnie tak upadło i prawie zanikło, że pozostały prawie same jednostki i państwo, z niemałą szkodą samego państwa. Życie społeczne bowiem stało się bezkształtne, a państwo, przejąwszy na siebie wszystkie te zadania, które poprzednio ponosiły zniszczone związki, załamuje się niemal pod ciężarem nieskończonych zadań i zobowiązań."

„Niewzruszoną pozostanie najwyższa zasada filozofji społecznej, której ani podważać, ani osłabiać nie wolno: jak jednostkom ludzkim nie wolno odejmować, a przekazywać społeczności tego, co jednostki z własnej inicjatywy i własną mogą wytworzyć pracą, tak samo jest naruszeniem sprawiedliwości, gdy się to, co mniejsze i niższe społeczności wykonać i dokonać mogą, przydzieli większym i wyższym władzom społecznym; pozatem wyrządza to szkodę wielką i podrywa porządek społeczny. Wszelka czynność społeczna bowiem powinna w pojęciu i istocie swojej wspomagać członki ciała społecznego, nigdy zaś ich rozbijać ani wchłaniać."

„Sprawy zatem mniejszej wagi i zabiegi skądinąd zbyt drobiazgowe powinna władza państwowa pozostawić niższym zespołom."

„Niech więc kierownicy państw będą przekonani, że im doskonalej hierarchiczny porządek z zachowaniem pomocniczej interwencji państwa panuje wśród rozlicznych zrzeszeń, tem wybitniejszy będzie i autorytet społeczny i społeczna działalność, tem lepszy i szczęśliwszy byt państwa."

„O to przedewszystkiem starać się, o to zabiegać powinno i państwo i dobry powinien obywatel, aby po zaniechaniu walki przeciwnych sobie „klas" powstała i rozwijała się zgodna „współpraca stanów".

„Do odnowienia zatem „stanów" musi się sztuka polityki społecznej przyłożyć. Społeczeństwo jest dotąd naprawdę rozdrażnione i z tego powodu zmienne i chwiejne, ponieważ opiera się na „klasach" o odmiennych zainteresowaniach i przeto sobie przeciwnych, tak że o walki i zawiści nietrudno." [1]).

„Zrozumiałą to rzeczą, że przeogromnemu temu nieszczęściu, które całą ludzkość wiedzie do zagłady, trzeba zapobiedz". „Ale uzdrowienie zupełne mogłoby wówczas dopiero nastąpić, gdyby, po usunięciu owych przeciwieństw, części organizmu społecznego ułożyły się w składną całość, innemi słowy: utworzyły „stany", do których należałoby się nie według stanowiska swego na rynku pracy, lecz ze względu na funkcję społeczną, którą się pełni".

„Ponieważ porządek, wedle świetnego wywodu Św. Tomasza, jest jednością, wypływającą z dobrze złożonej wielości, wymaga prawdziwy i istotny porządek społeczny, aby rozmaite części społeczeństwa silnym jakimś węzłem łączyły się w jedność. Łącząca taka siła tkwi w samem wytwarzaniu dóbr, albo oddawaniu przysług ze strony pracodawców i pracobiorców tego samego „stanu", we wspólnym wysiłku, tkwi również w owem dobru powszechnem, do którego wszystkie „stany", każdy w swoim zakresie, zgodnie przyczyniać się powinny".

„Stąd łatwo wysnuć wniosek, że w owych związkach ośrodek ciężkości leży w sprawach całemu „stanowi" wspólnych. Najważniejsza z nich na tem polega, żeby jaknajtroskliwiej pielęgnować współpracę każdego zawodu dla dobra publicznego" [2]).

Po tych ważnych ustępach, wskazująccyh nową podstawę organizacji społeczno-gospodarczej we współpracy stanów dla wspólnego dobra społeczności całej, a nie już w walce klas dla zadowolenia mniej czy więcej słusznych pretensyj interesu indywidualnego, Ojciec św. krótko, lecz dobitnie omawia ważną sprawę wolności związków zawodowych; na ustęp ten zwracamy uwagę ze względu na następujące potem omówienie związków syndykalno-korporacyjnych faszystowskich:

„... człowiek ma zupełną swobodę nietylko zakładania takich organizacyj na prawie prywatnem, lecz także „wolność wyboru statutów i regulaminów, które się mu wydadzą najodpowiedniejszemi dla celów stowarzyszenia" [3]). Z taką samą swobodą mogą się tworzyć organizacje, sięgające poza granice poszczególnych zawodów" [4]).

Nie będziemy przytaczali ustępu Encykliki, opisującego pokrótce organizację zawodową faszyzmu; rzeczy te są znane skądinąd. Natomiast bardzo zajmujące musi być, iż Ojciec św., wymieniając zarzuty, czy wątpliwości, jakie bezstronnie patrzącemu nasunąć się muszą, i zaznaczając, że ta forma organizacji nie jest w pełnej zgodzie z postawioną codopiero w Encyklice zasadą wolności związków zawodowych, przecież nie rzuca potępienia na tę próbę ujęcia życia gospodarczo-zawodowego w ramy narodowej solidarności: widocznie idei, wcielającej się w te instytucje, nie uważa za niezgodną zasadniczo z myślą chrześcijańską:

„Ktokolwiek choćby nieco zastanowił się nad tem zagadnieniem, łacno pozna zalety instytucji przez nas w ogólnych zarysach przedstawionej; zgodna współpraca rozmaitych klas, ukrócenie organizacyj socjalistycznych i ich usiłowań, specjalna władza, wywierająca wpływ łagodzący"... jednakowoż... „znane nam są obawy niektórych ludzi, jakoby państwo wypierało swobodną samodzielność, zamiast ograniczyć się do niezbędnej i wystarczającej pomocy; dalej jakoby nowy ustrój związkowy i stanowy zbyt pachniał biurokratyzmem i polityką..." [5]).

Rozumie się, że odpowiedź na to obawy może dać tylko życie; o ile one są słuszne, to życie gospodarcze i społeczne Włoch poważnie ucierpi lub w chwili bujniejniejszego przypływu soków rozsadzi zbyt ciasne koryto. Najwięcej zależeć będzie nietyle może od samej formy instytucji, ile od ducha, który kierować będzie wykonawcami. Gdyby faszyzm nie był wielkim ruchem narodowym, instytucje jego zupełnie napewno zdegenerowałyby szybko, gdyż instytucje o zbyt zdefinjowanych i skończonych formach łatwo degenerują. Po-

[1]) Encyklika „*Quadragesimo*" str. 49, 50, 51, przekładu J. E. Ks. Bisk. Okoniewskiego.

[2]) *Ibid.* str. 52, 53.

[3]) Enc. „*Rerum Novarum*", nr. 42.

[4]) Enc. „*Quadragesimo*", str. 54.

[5]) *Ibid.*, str. 58, 59.

nieważ we Włoszech są one odbiciem żywiołowego ruchu społeczeństwa samego, można przypuszczać, iż formy narazie skrystalizowane okażą się dostatecznie elastycznemi, aby, wyhodowawszy w narodzie tradycję solidarności społecznej i gospodarczej, uledz przemianie i zbliżyć się bardziej do wskazanego przez Ojca św. ideału obywatelskiej wolności, która jedna jest zdolna zapewnić trwałość wszelkim społecznym i politycznym budowom. Pewna sztywność faszystowskiej budowy społecznej usprawiedliwia się tem narazie, że bądź jak bądź społeczeństwo samo ją przyjęło, nawet z entuzjazmem, a powtóre, że organizacja faszyzmu była początkowo organizacją bojową, skierowną przeciwko tak groźnemu we Włoszech, bezpośrednio po wojnie, zalewowi haseł komunistycznych i wywrotowych organizacyj międzynarodowych. Ten charakter wielkiej defensywy, czy ofensywy narodowej odbił się na organizacjach faszystowskich, nadając im charakter stanu wyjątkowego. W przyszłości wiele zależeć będzie od tego, czy ta struna nie zostanie przeciągnięta, czy wogóle w porę będzie odprężona.

Trzeba zastanowić się jeszcze nad całością zagadnienia organizacji zawodowej, narzucanego nam tak stanowczo przez Encyklikę Piusa XI. Należy tu zestawić dwa krótkie jej ustępy:

„Wtedy dopiero gospodarstwo społeczne ostoi się i cel swój osiągnie, wszystkim bez wyjątku dostarczy wszystkich dóbr, które uzyskać można z zasobów przyrody i z jej pomocą oraz techniką i organizacją życia gospodarczego“ [6]).

„Wówczas... jedynie wydajność pracy ludzkiej jest zapewniona, jeżeli istnieje dobrze zorganizowany ustrój społeczny...“ [7]).

Wreszcie przypomnieć sobie trzeba w tem miejscu, przytoczony już powyżej, ważny ustęp, rozwijający myśl, iż Państwo wchłaniać nie może wszystkich czynności społecznych, lecz pozostawić winno poszczególne gałęzie życia społecznego organizacjom niższego rzędu.

Widzimy, że myśl Piusa XI jest śmiała; w chwili bezradności wszystkich najtęższych głów finansowych świata, w chwili załamania się olbrzymiej konstrukcji gospodarczej na czystym materjalizmie opartej, Ojciec św. wygłasza optymistyczny postulat, aby wszystkim dostarczyć tego, co do zaspokojenia potrzeb jest niezbędne, a życie społeczno-gospodarcze harmonijnie zorganizować.

Nie ulega wątpliwości, że kryzys gospodarczy narzuca konieczność zorganizowanego wysiłku, a trudności, z jakiemi walczyć przychodzi, wymagają zdolności poświęcenia, natchnienia wyższego, niż brutalna siła egoizmu:

„Potrzeba więc wyższych i szlachetniejszych sił, któreby supremacją gospodarczą rządziły mocną i roztropną ręką: są niemi sprawiedliwość i miłość społeczna” [7]). Tymczasem zaprzeczyć się nie da (bez rzucania zresztą bezwzględnych kondemnat na nowoczesny okres wielkiego rozwoju techniki i produkcji), iż organizacje zawodowe, jakie nam pozostawił, noszą raczej piętno walki o zdobytu łup, niż zestrojonego wysiłku dla zapewnienia spokojnej ciągłości wytwórczej i roztropnego gospodarzenia nabytem bogactwem dla dobra społeczności całej. To też organizacje te nie odpowiadają już potrzebom czasu, ani poczuciu solidarności narodowej, które z okresu Wielkiej wojny wyszło wzmocnione. Sprawiedliwość chrześcijańska, oddająca każdemu człowiekowi, co mu się należy, bez względu na jego siłę, czy słabość, miłość społeczna, obejmująca troską cały duchowo-fizyczny organizm społeczny, odczuwająca żywo tętno i potrzeby jego życia, te dwie wielkie siły muszą oczywiście znaleźć wyraz organizacyjny w społecznej budowie nowoczesnej. Czynnik zatem pozytywny, wspólny wysiłek twórczy ma być „siłą łączącą” stanowiącą podstawę i bodziec organizacji zawodowej, zamiast czynnika negatywnego walki o łup lub o marny ochłap, niezbędny do utrzymania życia. Nie można zaś pomyśleć takiej organizacji pozytywnej bez religijnego i patrjotycznego natchnienia, bez moralnego kierunku chrześcijańskiego.

I jeszcze jedno: nie można stworzyć i utrzymać takiej organizacji bez kultu pracy, to znaczy bez uszanowania i umiłowania twórczego wysiłku ludzkiego, jakiby nie był — duchowy, czy fizyczny. Industrjalizm nowoczesny doszedł do „udoskonalenia pracy“, skierowanego głównie na szybkość i masowość produkcji, jest to właśnie zabicie pracy w sensie właściwym rozumnego wysiłku, to też produkcja nowoczesna wyeliminowała prawie zupełnie czynnik piękna i miłej oku rozmaitości. Skoro dziś masowość produkcji stała się bezcelowa wobec braku zbytu, może doskonalenie pracy zdrowszy przyjmie kierunek, a organizacje zawodowe znajdą tu pole właściwe wysiłku [8]).

Dla braku miejsca pomijamy szczegółowe omówienie ustępów, gdzie Pius XI pisze o zorganizowaniu również życia gospodarczego za pomocą wzajemnego porozumienia różnych gałęzi wytwórczości (a także różnych państw) pomiędzy sobą: uznając zalety wolnej konkurencji, wypowiada on pogląd, iż nie może ona być jedynym czynnikiem, regulującym bieg życia gospodarczego. Tu znowu dla zawodowych organizacyj otwiera się ważne pole pozytywnego działania i współpracy. (Jak wiadomo, sprawy te są celem istnienia W. Rady Korporacyjnej we Włoszech).

Na zakończenie tego krótkiego rzutu oka na bogactwo treści, zawartej w omawianem piśmie papieskiem, trzeba jedną jeszcze zanotować uwagę, powracając do tego, o czem wspomnieliśmy na początku niniejszego artykułu. Otóż wydaje się, że przeniesienie zagadnienia socjalnego w pełni na teren społeczny i polityczno-organizacyjny daje jeszcze pewniejsze i głębsze podstawy dla praktycznej, wykonawczej pracy katolicko-społecznej, wskazując wyraźnie cel nietylko w zaspokojeniu potrzeb warstw najbiedniejszych, lecz nadewszystko w harmonji społeczno-gospodarczej, w organicznej konstrukcji społeczno-narodowej. Tem samem moralnie i myślowo Encyklika Piusa XI podnosi proletarjat pracujący do godności równorzędnego członka ciała społecznego, któryby miał już nie pretensje wiecznie niezaspokojone, lecz prawa i ścisłe obowiązki oraz możność rozumnego wpływu na kierunek gospodarstwa narodowego.

Są to może dalekie jeszcze ideały, lecz tylko one nadać mogą wysiłkom bieg właściwy, chroniąc je od szkodliwego błądzenia.

ZOFJA ŻÓŁTOWSKA-DĄBROWSKA

[6]) Str. 48.
[7]) Str. 44.
[7]) Str. 56.

[8]) Berdiajew w swem „Nowym Średniowieczu“ nie bez racji zarzuca ideologji radykalnej, iż pracą naprawdę wcale się nie interesuje.

W MGLE NIEPOROZUMIEŃ

(Ciąg dalszy)

4

NAJOBSZERNIEJSZE, specjalne studjum o „Weselu", pióra Stanisława Kotowicza (Lwów 1912), aczkolwiek nie pozbawione skądinąd wartości, w próbach wyjaśnienia istoty Chochoła i Wernyhory zawodzi najzupełniej. Oto Chochoł:

„Słomiane okrycie, pusta, bez wartości będąca sama w sobie zewnętrzność, forma, — okryła i uwięziła najpiękniejszą treść duszy poety, ową wewnętrzną różę. Nurt żywiący wstrzymano więzami formy, która, narzucona treści duchowej, ścieśniła i umartwiła ją, jak, że użyję mniej poetycznego porównania, odzienie ciasne i spięte tamuje regularny obieg krwi, będący warunkiem zdrowia organizmu". (Widzimy tu, jak dowolne porównanie, konsekwencją swą nieodpartą, prowadzi myśl krytyka na bezdroża. Gdybyśmy użyli, przeciwnie, innego, równie uzasadnionego porównania, powiedzmy, do gorsetu ortopedycznego, moglibyśmy w konsekwencji twierdzić, że owo słomiane okrycie prostuje i pomaga rozwijać się krzewowi róży. Stąd i dalsze tłumaczenie Kotowicza jest zupełnie dowolne.—Przypisek S. C.). „Na „Wesele" zjawi się niebawem Chochoł, symbol zewnętrznych, wszelkich zewnętrznych zapór, jakie treść duchowa w rozwoju swym na linji postępu zwalcza lub zwalczyć usiłuje... Duch pocznie tragiczną walkę z martwą powłoką, z przygniatającym myśl, a zaciemniającym światło czynnikiem śmierci". (Autor nie pamięta, jaką rolę u Wyspiańskiego pełni śmierć.— Przypisek S. C.). „Chochoł, sprowadzony przez weselników ze sadu... s t ł u m i niebawem życie w samej chacie". (W rzeczywistości Chochoł o ż y w i a ż y c i e w e w n ę t r z n e, t. zn. wedle pojęć Wyspiańskiego, życie i s t o t n e. — Przyp. S. C.).

„Chochoł—symbol potęgi szatańskiej... Chochoł nakrywa niejako weselników szatą, która tłumi życie, nie pozwala zaczerpnąć tchu, gasi światło duszy, a oddaje je na łup polipowi, któremu na imię Rozpacz... Chochoł — wysłannik piekieł".

I tu Kotowicz porównywa Chochoła z „Wesela" do Chochoła z „Legendy", najopaczniej tłumacząc obydwa symbole, co potem będzie powtarzane bezmyślnie przez szereg krytyków.

„Nic innego przeto nie oznacza Chochoł, jak tylko więzy, nałożone przez ducha na siebie". (Więc może dobroczynne? — Przyp. S. C.). Twarda rzeczywistość (w postaci Chochoła) pomści się, zwiększając przeszkody w dwójnasób, czyniąc duchowi nieprzebyte zapory".

Lecz w tem miejscu następuje zgoła nieoczekiwane *salto-mortale*. Autor wyraźnie zmienia front i tak pisze:

„Dalekie od prawdy jest utarte i pospolicie przyjęte zdanie, że ów Chochoł „ironiczny", jest to „widomy symbol zewnętrznej nicości życia pustego, jak wymłócona słoma..". Nie to stanowiłoby istotę rzeczy. Na symbol złożyły się z jednej strony myśl twórcy o przeznaczeniu zimowego okrycia krzewów różanych, a pierwiastek malarski — z drugiej. Myśl głębsza wchodzi także w rachubę, gdyż podobnie jak krzew owija się i krępuje, by o c h r o n i ć s t ł u m i o n y p ę d ż y c i o w y p r z e d o s t a t e c z n e m z a m a r c i e m, tak i w sferze ducha dzieje się analogicznie. O s t a t e c z n e m p r z e z n a c z e n i e m C h o c h o ł a w „W e s e l u" j e s t u j ą ć i s t ę ż y ć d u c h o w y z a p a ł w e s e l n i k ó w d o c h w i l i, g d y ś w i t o b u d z i ż y c i e, g d y w i o s n a r o z p ę t a r z e k i i z w o l n i j e z l o d ó w. Poeta więc z góry przewiduje, jaki będzie koniec dramatu".

Doskonale! Lecz tu znów następuje zgoła nieoczekiwany wniosek:

„Weselnicy czekają na światło i w oczekiwaniu zamierają. Piekło bierze górę i mrozi zapęd duchowy, zostawiając im życie cielskiem, taneczny obrót w kółku powszedniości".

Wobec tego rodzaju braku konsekwencji nie można się dziwić, że również Wernyhora i przyniesiony przezeń Złoty Róg są przez Kotowicza zupełnie błędnie wytłumaczeni:

„Wernyhora — to symbol świadomości ducha i przychodzi na wesele z żądaniem czynu. Nie jest to mara..., lecz istota żywej myśli samego twórcy „Wesela"... Wernyhora — Wieszcz-patron, Wernyhora — Król-Duch narodu, który wydaje zlecenie, by naród przygotował się na przyjęcie Prawdy, mającej ocalić go z nędzy i upodlenia... Pod przykazaniami Wernyhory kryje się sam twórca „Wesela" (toż na str. 91, 96, 106, 119).

„Złoty Róg Wernyhory — to myśl, którąby zapanowała nad myślami i ideami, waśń rodzącemi i wytworzyła nowe światło w narodzie... Złoty Róg... narodził się z ducha Konstytucji i wielkich haseł epoki romantycznej". (Ale jakiż stosunek Wyspiańskiego do niego? o tem krytyk nic nie mówi, bo mu nawet na myśl nie przychodzi, że można się romantyzmowi przeciwić. — Przyp. S. C.).

„Gospodarz słyszy rozkaz Wernyhory — a reszta zrobi się sama, a cud się sam dopełni natychmiast". (Tu się przypomina ironiczne słówko Boya: „Wizja Wernyhory, to może odpowiednik do tego cudownego: „i jakoś to będzie" sędziego Soplicy". — Przyp. S. C.).

Dalej Kotowicz stwierdza:

„Hasło Wernyhory stało się równoznaczne z obrazem kosynierów, Krakusów.. Stanowisko Wernyhory jest stanowiskiem wieszczem; skarb jego ze skarbca kultury narodowej jest wzięty. Wcielając myśl Wernyhory naród siłą rzeczy zmierza ku odrodzeniu, któremu nic na przeszkodzie stanąć nie może... Zdobycz ducha polskiego — Złoty Róg Wernyhory" (Podobnie E m a u s k i, prezes cenzury warszawskiej przed wojną, nazwał „Wesele" „Kosynierską sztuką, napisaną przez zwarjowanego poetę" [27]) — Przyp. S. C.).

I dalej znów znajdujemy u Kotowicza niespodziany wniosek:

„Przed igraniem z ogniem, przed „mieczowem igrzyskiem" Wyspiański ostrzega... I chociażby tysiące niezliczone kosynierów stanęło w pogotowiu, dopóki naród innego najazdu, najazdu niewoli, duchem, wolą nie zrzuci, nic go ocalić nie zdoła" (str. 103).

Ale jak z tego rozumnego stanowiska Kotowicz znów wykonywa skok z powrotem do apoteozy Wernyhory—tego zrozumieć nie sposób:

„Wernyhora — Genjusz Prawdy, wyrażonej w kulturze narodu, w jego przeznaczeniu, więc (!) w jego poezji; Wernyhora—Wieszcz narodu i Danjel".

Ostateczne *résumé* autora jest takie:

„I i II akty — to zmaganie się organizmu narodowego z potęgą napozór wrogą (bo działającą przez ból), potęgą przeszkód, które duch spotyka na swej drodze, — albo je piętrzy w nieprzebytą ścianę ciemności. W pierwszym wypadku Chochoł jest czynnikiem więcej dobroczynnym, bo siły ducha przez walkę wzmaga, lub im nadaje kierunek; w drugim—staje się wiekiem trumny, w której życie zamiera w zupełności, lub na długi przeciąg czasu, (róża, owinięta słomą!). dopóki duchowi, niezdolnemu wyzwolić się własną siłą, nie przyjdzie ktoś z pomocą, ogrodnik Pański, symboliczna Korsa z „Nocy Listopadowej", w której ręce klucze od śpichlerza. Co odwrócić może klątwę? Jedna tylko rzecz: u ś w i a d o m i e n i e s o b i e w p e ł n i (podkreśl. autora) jaki jest stan rzeczy. Takie uświadomienie daje akt III „Wesela": tu jest ów ukryty, poza sceną aktu, poza obrazem sztuki — Archanioł". (Widzimy, jak tu Kotowicz, dopiero wyszedłszy poza ramy dramatu, naogół trafnie się orjentuje w intencjach poety, nie dodając tylko, że Archanioł ten jest właśnie ukryty... w Chochole, jako krzak róży.—Przyp. S. C.).

5

C h m i e l o w s k i dostrzega dwoistość, zawartą w postaci Wernyhory. Jego widziadło to dla Gospodarza „Duch narodu", dla jego żony: „Widmo z piekła":

[27]) Wedle wspomnień W. R a b s k i e g o w recenzji „Wesela", „Kurjer Warsz." 1922, nr. 338.

„Napół przytomne, napół senne rojenia o urzeczywistnieniu przepowiedni Wernyhory wprawiają... w stan hypnotyczny: wszyscy wytężają słuch, wszyscy oczekują ruchu".

O Chochole zaś powiada Chmielowski:

„Nic podobnego chyba niema w żadnej literaturze: jest to wyłączna, bardzo odważnie zdobyta własność poety... Ożywił i uosobił krzak róży, przedstawił krzak róży, owinięty w słomę, ze straszydła uczynił postać zajmującą, żywą i ważną w dramacie".

Nawiązując do ostatnich słów Chmielowskiego, A. Ł. Cybulski[28]) stwierdza, że Chochoł bynajmniej nie jest własnością poety:

„Nie, to własność wszystkich ras, klimatów i epok, jedna z najgłębiej zakorzenionych wiar człowieczego serca"

i, cytując liczne przykłady z obrzędów, związanych ze zbiorem zboża u różnych ludów, dowodzi, że

„Chochoł ma za zadanie przechować, co bezpośrednio zapewnia odżycie w przyszłorocznych zbiorach".

Wernyhora natomiast, wedle Cybulskiego, jest „złym duchem".

Tego samego obszernie dowodzi Przemysław Mączewski w studjum o Wernyhorze[29]). Wedle niego, ten kozak z „Wesela", to ciąg dalszy idei, dopełnienie Wernyhory ze „Snu Srebrnego" Słowackiego:

„Przeszło wiek czekał Wernyhora, by ich (lud i szlachtę) zastać „jakoś wraz" w złotej zgodzie i łączności... Romantyczny Wernyhora po i złudą dopełnionych dni marzycielską duszę gospodarza... Wstają marzenia najszczersze duszy polskiej: czar proroctw, mesjańskich ewangelij i zmartwychwstań... Wernyhora włada już tą ziemią i chatą, wstrząsa dreszczem gorączki powstańczej... Poetyczny, czarujący wiew dawnych walk o niepodległość, nastrój Barów i Racławic... Chochoł zmógł Wernyhorę (on chyba, a nie kto inny porwał Złoty Róg), ale nietylko Chochoł, chociaż on tłumi (?) życie Polski współczesnej, ta Martwica-Śmierć, która gnała ongiś bohaterską Wandę z „Legendy" w zatracenie. Jest drugi (?) sędzia surowy, który podniósł rękę na proroka, czarownika:— to twarde życie narodu, życie nasze: dziś. Woła ono przez usta poety: Nie powstaną zmarli, nie pomogą dawni święci, nie nadleci Wernyhora, złuda barwna romantyzmu! Nie wskrzesną fantazje, stare wiary, bohaterskie sny! Odwróćcie się od grobów! Wyspiański wali stare bogi, padł i Wernyhora". (Widzimy tu zupełnie dowolne wprowadzenie nowego terminu, którego nie zna poeta: terminu życie. Wszystkie cechy, któremi je obdarza Mączewski, mieszczą się już integralnie w Chochole. — Przyp. S. C.).

Wreszcie, omawiając „fatalne niepowodzenie misji Wernyhory", autor konkluduje:

„Wyrok nie mógł być inny, wobec krytycznego, anti-romantycznego i wybitnie satyrycznego charakteru „Wesela". Zburzona została wiara w cudy i czary w obronie życia i jego realnych potrzeb".

Podobnie tłumaczy rolę i istotę Wernyhory K. Missona[30]). To

„wizja zbawienia Polski, jak je sobie wyobraża bratszlachcic: wiara, cud mają nas zbawić... Widzenie sprowadziło prawie zupełny rozstrój w umyśle p. Włodzimierza: W jego myślach snuje się wspaniały świat zaczarowany... Pod wpływem ideału Wernyhory popadliśmy w stan martwoty i kołowaciznę patrjotyczną i obracamy się wciąż w kółko".

Tembardziej wobec tego trafnego ujęcia charakteru Wernyhory razi nas powierzchowne określenie Chochoła, jako poprostu „nędzy".

Henryk Życzyński[31]) jest w niewoli konwenansu romantycznego. Dla jakichś, niezrozumiałych dla czytelnika powodów, otacza on czcią Wernyhorę „historycznego" (?) i sądzi, że „duch jego jest symbolem i wykładnikiem żywotnych i niezniszczalnych wartości".

Dlatego to autor twierdzi, że

„Gospodarzowi jawi się szatan, który przybrał postać Wernyhory, ale duchem Wernyhory nie jest... W każdym razie nie ulega wątpliwości, że duch, jawiący się Gospodarzowi, jest zły i ma złe intencje. Jego dar, czyli Złoty Róg, jest pokusą, hasłem niewczesnem, fałszywem albo przebrzmiałem... Z tego wszystkiego wynika, że główną winą Gospodarza w „Weselu" jest nie zatrata Złotego Rogu, jak mniemano, ale fakt, że on wogóle Złoty Róg przyjmuje".

A. G. Siedlecki, jakkolwiek dostrzega analogję pomiędzy Chochołem a Korą z eleuzyńskiego misterjum, mówi jednak najdowolniej o Chochole, że on „odcina od światła i wolności żywe pędy gałązek. To Nemezis pokolenia". We wstępie jednak do drugiego wydania swej książki, zmieniwszy zasadniczo swe stanowisko wobec romantyzmu, którego dawniej nie śmiał tknąć, jako rzekomą świętość, stwierdza słusznie, że „Wyspiański w „Weselu" pokazuje karykaturę romantyzmu", że potępia

„upajanie się Wernyhoryzmem, wiarę w cudowne, poza naszym trudem, zbawienie Polski, wiarę w amulety, w Złote Rogi... Zdaniem Wyspiańskiego romantyzm na swój sposób podsycał jeno i utrwalał senność polskiej bierności, rozleniwienie woli".

Tadeusz Sinko, znany badacz filologji klasycznej, jednak występujący także amatorsko na niwie filologji polskiej, w swym „Antyku Wyspiańskiego" tkwi całkowicie jeszcze w kategorjach romantycznych, stwierdzając, że „muzyka przeszłości potrafi tylko zahypnotyzować, ubezwładnić", akcentuje niepotrzebnie, że „szlachcicowi śni się (podkreślenie autora) tylko, że posiada Złoty Róg Wernyhory, misję historyczną, (podkreśl. S. C.). Jaśkowi też tylko „zdaje się", że otrzymał Złoty Róg. „Rogu nigdy nie niósł, więc go i zgubić nie mógł[32]).

Gdzieindziej Sinko tak pisze:

„W r. 1900 celem dążeń „weselników" było powstanie narodowe. Myśleli oni o niem w kategorjach, dyktowanych im przez tradycje tej warstwy narodu, tego zawodu (?), do którego należeli. Wyspiański osądził, że te tradycje mają moc ubezwładniającą, uniemożliwiającą osiągnięcie celu"[33]).

Ale dalej myśl Sinki się gmatwa. Zdawałoby się, że te tradycje reprezentuje właśnie Wernyhora, który „wzywa do powstania. Szlachcic, co rozesłał wici, nie wie, co dalej począć, co wogóle poczynać... Tylko oczekiwanie cudu, ale poza tem oczekiwaniem niema programu, niema wiary w sam cud"[34]).

Tymczasem dalej okazuje się, że to nie Wernyhora, lecz całkiem przeciwnie, właśnie Chochoł reprezentuje „Tradycje historyczne" (str. XXXV). Chochoła identyfikuje Sinko z Chochołem-Martwicą z „Legendy", która to Martwica „nie zawiera żadnych, żadnych ziarn na przyszłość". Otóż to, że w „Weselu" Chochoł spowija żywą różę, a w „Legendzie" właśnie dlatego Chochoł—to jeno Martwica, że tradycję wyjęto z pod jego osłony, co musi odpokutować Wanda.

W artykule powyżej cytowanym wraca Sinko do postaci Chochoła, który, wedle niego, „dziś" (było to bezpośrednio przed rokoszem majowym)— „to suma wszystkich tradycyjnych partyjnictw i ich

[28]) W mroku jaśniejące słońce, Lwów, 1922.
[29]) „Pamiętnik Literacki", 1909, str. 202—9.
[30]) „Wesele" W-go, Brody 1907.
[31]) Wernyhora Wysp-go, „Ruch Literacki", 1927, s. 269.
[32]) Antyk W-go, Kraków, 1916, str. 120.
[33]) Aktualność „Wesela" — Gazeta Literacka", 1926, nr. 4.
[34]) Wstęp do IV t. „Pism" S. Wyspiańskiego, str. XXXI

grzechów". Gdybyśmy chcieli snuć tę zaktualizowaną koncepcję, przypominającą pomysły Zwidlicza[35]), zmuszeni też bylibyśmy do poszukania symbolów, odpowiadających „dziś" (1926 — 1932) Wernyhorze i Złotemu Rogowi.

Lorentowicz, zbyt uogólniając, za „naczelną ideę całej twórczości Wyspiańskiego" uważa „walkę z grobami", z „dawnością". Jednak jakgdyby nie dostrzega, że głównym wyobrazicielem kultu „dawności" jest w „Weselu" Gospodarz, a jej wcieleniem Wernyhora ze Złotym Rogiem. Stąd, pomijając fatalną suggestję pierwszego czaru, twierdzi, że to „taniec pod muzykę Chochoła przynosi wstrząsającą wizję straszliwej, osłabiającej władzy czaru owej „dawności" [36]). Oczywiste nieporozumienie!

[35]) Symbole polityczne w „Weselu", Warszawa, 1919. Mowa tu pomiędzy innemi o federacji z Ukrainą, oraz o Piłsudskim, który od Magdeburga „działa już wyraźnie w myśl wskazań Wyspiańskiego".

[36]) „Dwadzieścia lat teatr", 1929, t. I, str. 437.

Wacław Grubiński wyjątkowo powierzchownie aktualizuje dramat:

„Od premjery „Wesela" dużo się w Polsce zmieniło. Zagrzmiał zbrojny czyn, Chochoła spraliśmy rozgłośnie (!) na cały świat, a chłopek, który w sztuce Wyspiańskiego zgubił Złoty Róg, w rzeczywistości polskiej znalazł fotel prezydjalny ministrów..."

Czyż trzeba jeszcze dowodzić, że rzeczywiście, przynajmniej dla Grubińskiego, „Wesele" jest „wprost niezrozumiałe"?

A. B. Cyps tak fantazjuje:

„Kto jest Chochołem? To symbol nieharmonji społecznej. Siła ludu—to na scenie krzak róży, wielkopańska opieka — roztoczona nad chłopem — to wiecheć, jakoby futerał społeczny. Jaki stosunek jest formy do treści? Oto ten, że chłop dusi się w objęciach starego niedźwiedzia, który ściskając lud — dusi" [37]).

(Dok. nast.) STANISŁAW CYWIŃSKI

[37]) „Wysp. na tle swego teatru" — Łódź, 1921.

ZAGADNIENIE KINA

KILKAKROTNIE w ciągu wieczoru dziesiątki kin otwierają swe podwoje, by wchłonąć tłumy. Kino stało się najpopularniejszą rozrywką. A są wśród jego wielbicieli i tacy — bynajmniej nie garstka — którzy jedynie w ten sposób nawiązują kontakt ze sztuką. Oczywiście, poziom kulturalny tej części widzów nikomu imponować nie może, natomiast ich zdolność emocjonalna jest bardzo duża, jako odbiorcy są materjałem najmniej zblazowanym. Nic dziwnego więc, że kino narzuca się im jako autorytet nie tylko w sprawach estetyki. Przez swoją suggestywność zniewala ich do wiary we wszystko, co ukazuje. Może kształtować ich pojęcia o pięknie, urabiać poczucie dobra, lub je deprawować, z siłą stokroć większą od wszelkich sztuk innych, gdyż rozporządza jednocześnie środkami każdej. Skoro ta codzienna pożywka tłumów posiada takie możliwości, skoro ten pokarm wchłania się z tak ryzykancką beztroską, nie od rzeczy będzie zastanowić się, jakie są jego wartości odżywcze. Kilkakrotnie wymieniliśmy słowo: sztuka — nikt już dzisiaj nie będzie protestował, gdy połączymy je ze słowem: filmowa. Niestety, to co się w tej dziedzinie robi, często może pretendować zaledwie do nazwy: przemysłu filmowego. Coprawda warunki, w jakich powstaje film, są całkiem odrębnego rodzaju i żadne inne dzieło dla swego istnienia takich (lub w takiem natężeniu) nie wymaga. Film jest dziełem zbiorowem, ale nie w tem kryje się niebezpieczeństwo. Tu potrzeba pieniędzy i to sporo, stąd właśnie wielkie niebezpieczeństwo. Skoro kapitał się angażuje, oczywiście chce nietylko nic nie stracić, lecz przedewszystkiem zarobić, choćby w tym celu, aby mieć pieniądze na dalszą produkcję. W innych gałęziach sztuki, np. plastyce, kwestja materjalna też odgrywa pewną rolę przy powstawaniu dzieła, lecz jego istnienie nie jest od tego zależne.

Artysta może na swej pracy nic nie zarobić, ale ona już istnieje, publiczność ją ogląda i w ten sposób dzieło sztuki wywiera wpływ. Natomiast istnienie filmu—to jego wyświetlanie. Jeżeli publiczność jakiś film zbojkotuje i nie da mu możności życia (przez kupno biletu), nie znajdzie się wśród filmowców taki śmiałek, któryby się odważył na powtórzenie eksperymentu. (I odwrotnie: wiadomo, iż film, cieszący się wielkiem powodzeniem, staje się zwykle rodzicem szeregu podobnych, jako już „murowanych pewniaków"). Widzimy więc, że publiczność jest tu niejako panem życia i śmierci. „Publiczność jest winna wszystkiemu"—wmawiają nam skwapliwie filmowcy. I robią to z taką miną, jakby ich własne aspiracje były daleko większe. Gdyby tu się kryło naprawdę źródło zła, musielibyśmy uważać naszą publiczność za najmniej kulturalną. Wiadomo jednak, iż tak nie jest, amerykanie np. są daleko mniej wybredni. Możemy zaobserwować u nas zbyt częstą i nazbyt potulną tolerancję tandety, lecz zarazem stwierdzić prawie zawsze powodzenie filmów naprawdę na to zasługujących, okazuje się więc, iż prawdziwa twórczość też... popłaca, tylko trzeba umieć się na nią zdobyć. Co tu zwalać na innych, kiedy samemu się nie chce, jak mówią Rosjanie, „szewielnut' mozgom". Prasa, zwłaszcza brukowa, zamiast służyć publiczności w sposób rozumny i uczciwy, co jest jej obowiązkiem, najczęściej zawiera przymierze z filmowcami, tuszując *faux pas* i ogłupiając czytelników historjami o życiu „intymnem" gwiazd.

Wyjście z sytuacji widzimy we wzmożeniu posterunków czujnej, fachowej i uczciwej krytyki, która nauczyłaby czytelnika, jako widza w kinie, kategoryczniej protestować przeciw tandecie i postarała się, by ten, od którego wiele tutaj zależy, umiał zdobywać się na decyzje pożyteczne w swych skutkach.

Można być zwolennikiem, lub wrogiem kina, lecz nie sposób, widząc tak bujny jego rozrost, wrośnięcie wszystkiemi korzeniami w życie współczesne, jego wpływ na sztuki inne, uprawiać polityki strusia. Działanie kina ma już zasięg zbyt rozległy, a skutki tego działania są często zanadto poważne, aby można je było pomijać milczeniem. Dlatego obowiązkiem myśli narodowej jest zwrócenie uwagi i na ten odcinek życia i na zagadnienie „kultury twórczości polskiej" także w tej dziedzinie.

KANDYD

NA WIDOWNI

Rok jubileuszowy Józefa Weyssenhoffa—Przezwyciężenie „podfilipszczyzny"—Objektywizm jako wytwór kultury—Ironja jest orężem w ręku mistrza—Kanony estetyczne i poezja — Czy Podfilipski jeszcze żyje?

CZY żyje jeszcze Podfilipski? Pewno żyje, monografja bowiem, którą mu poświęcił Józef Weyssenhoff trzydzieści kilka lat temu, ma dla nas wszystkie znamiona świeżości, gra życiem. A może to tylko echo gra jeszcze, dzięki czarom talentu Weyssenhoffa?

. . . .

Co jakiś czas budzi się zbiorowa świadomość, że winno się wdzięczność pisarzom, którzy całe życie pracując w rejestrach duchowych społeczeństwa, podsuwali mu przed oczy swe dzieła, jak lustro. Świat nowożytny wiele zawdzięcza powieściopisarzom; ktoby zanalizował swoje uogólnienia pojęć o stosunkach międzyludzkich, znalazłby napewno wszędzie jakąś powieść przeczytaną. Zwłaszcza o polskim wieku XIX nie wielebyśmy wiedzieli, gdyby nie ona.

Oto rok jubileuszowy Józefa Weyssenhoffa. Jasny ten pisarz początkami swemi należy do wieku XIX. Ma tam swoich 40 lat życia, a w tem 13 pracy literackiej. Ale gdyby sięgnąć do daty, kiedy jako student dorpacki pisywał krążące potem w odpisach utwory, mielibyśmy jubileusz zgórą 50-letni. W Warszawie znany był najpierw jako poeta już w r. 1888, ale zasłynął dopiero w dziesięć lat potem, jako powieściopisarz, kiedy wydał „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego".

W Warszawie można się było wsławić tylko powieścią. To było jedyne zwierciadło, zbierające światłość życia. Proceder sławy trudny i zaszczytny. Weyssenhoff miał koło siebie Sienkiewicza i Prusa, za sobą i przed sobą—całe plejady świetnych nowelistów. Książka o Podfilipskim, którą się na front wysunął, zrobiła wielkie wrażenie i skończonością swej formy i treścią. Społeczeństwo znalazło tam bardzo interesującą informację o „towarzystwie" warszawskiem.

T. zw. sfera arystokratyczna zajmowała nieproporcjonalnie dużo miejsca w okrojonym terenie życia stolicy. Nie było przecież stanowisk i zmagań politycznych, które gdzieindziej dawały zajęcie szczytom społecznym, a tymczasem w społeczeństwie historycznem ogół przyzwyczajony jest patrzeć ku górze, szukając tam wskazań i wzorów. Małość tych czasów tłumaczy się płaskością życia, sprzyjającą hodowli Podfilipskich. Warszawa przez powiększające szkła kurjerków gapiła się, nie bez zawiści i nie bez zgorszenia, na rozpróżniaczone grono ludzi zamożnych, świecących nieraz znakomitemi nazwiskami rodowemi, w jaki sposób spędzają czas bez troski na zabawach (wyścigi, bale, knajpy, podróże, gry hazardowe), nie wstydząc się skandalów. Za największy zaś skandal uważano bezwrażliwość, z jaką przełamywano przedział między towarzystwem polskiem a rosyjskiem. O tem nie wspomina biograf Podfilipskiego ze względów na ówczesną cenzurę.

Opinja, źle do tych sfer usposobiona, przyjęła poklaskiem dzieło Weyssenhoffa. Że autor, należący sam do owego towarzystwa, tego poklasku się nia uląkł, owszem z radością na niego pracował, w tem mamy dowód, jak wielką potrzebą jego duszy było przezwyciężenie dusznej atmosfery.

Zatrzymuję uwagę na pierwszej powieści Weyssenhoffa, bo to jest jubileuszowy punkt wyjścia jego pełnej blasku drogi. Zaczęła się ona od chwili, kiedy zdobył się heroicznie na wyzwolenie, odkąd jako artysta, potrafił spojrzeć objektywnie na świat najbliższy.

. . . .

Objektywizm swój Weyssenhoff zawdzięcza francuskiej kulturze literackiej, dziedziczonej po przodkach z wieku XVIII i wykończonej studjami nad literaturą najnowszą. Zastanawiano się w krytyce, ile bliski jest Anatola France'a czy Goncourtów. Oczywiście jest bliski, ale według mnie bardziej dla niego charakterystycznym rysem jest ten, który go różni od Zoli. Przecież podobnie do Zoli sporządził w Podfilipskim „dokument ludzki", a jednak niepodobnie. Linja Weyssenhoffa była tradycyjnie klasyczna, co go czyniło u nas najbliższym Sienkiewiczowi, podczas gdy Zola odchylił się w surowość prób rewolucyjnych. A Weyssenhoffa zawsze coś odrzucało od rewolucji, czy to był Zola, czy Wyspiański.

Umiar estetyczny i jasność sądu objektywnego są kanonem jego pióra. Mierzi go wszystko, co umysł podaje w stanie surowym, czy chodzi o materjał rzeczowy, jak u naturalistów, czy o materjał subjektywny wzruszeń, choćby najgenjalniejszy. Jego słowo, aczkolwiek rodzi się w głębinach poruszeń poetyckich, musi być ostatecznie wyrobem intelektu i mieścić w swoim ekstrakcie i rzecz i barwę duszy. Kultura francuska uczyniła władczynią jego nastrojów, uczuć i rozsądku nawet – refleksję artystyczną, która rządzi według konstytucji wdzięku i dobrego smaku. Dobremu zaś smakowi potrzebna bywa ku pomocy — ironja.

Cóż było łatwiejszego, jak przebić się przez podfilipszczyznę szarżą, rąbiąc prawdę prosto w oczy. Autor wolał zażyć sposobu ironji, która zabija, nie zostawiając śladów, ironji, która strzeże pisarza od jaskrawości, a czytelnika zmusza do współpracy. Ironja jest sztuką mówienia naopak w ten sposób, że wszystko ma być rozumiane odwrotnie, niż to wynikałoby z dosłownego brzmienia słów. Kto potrafi tak zażyć czytelnika, osiąga zamierzony skutek bez uciekania się do patosu moralizatorskiego i tej fizycznej niemal bezpośredniości, jaką ma prawda, rzucona w twarz.

Ironja leży więc w interesie dobrego smaku, ale ileż grozi jej niebezpieczeństw! Niechże bowiem czytelnik nie uchwyci tego delikatnego ostrzegawczego „mrugam ci", które ubocznie rzuca mu autor, to następuje katastrofa i autor i czytelnik wpadają na siebie jak źle puszczone pociągi; dwutorówka się nie udała. Co za zgorszenie maluczkich, a jaki wstyd literacki!

. . . .

Weyssenhoff nie chybił, każdy się spostrzegł na arcydziele ironji. Ale też — coprawda — gatunek Podfilipskich w Polsce jest za mało dwuznaczny: snob, kosmopolita, używacz, samolub — to są jeszcze komplementy; z faktów widać, że to nawet szuja.

W młodości swojej czytałem H. Taine'a „*Vie et opinions de Thomas Graindorge*". Zamach na

czytelnika obmyślany był tak samo. Autor zrzuca tak samo odpowiedzialność na kogo innego za rękopis, sam jest tylko edytorem. Tak samo obaj autorzy robią to w tryptyku, poprzedzając rzecz przedmową swego Ligęzy i zamykając aneksami. Weyssenhoff jednak przewyższył zarówno Taine'a, jak i mistrza swego w ironji, France'a, bogactwem talentu powieściopisarskiego. Podfilipski to nie papierowa wycinanka tamtych, to żywy człowiek, nie konstrukcja ideowa pewnych rysów społecznych, lecz konkretny człowiek, polską metodą realistyczną podniesiony do godności symbolu.

Weyssenhoff wydobył swój typ zpośrodka sfery na wesoło i na sucho, bez okropności prosektoryjnych rozkrojeń i tak go „wyrentgenował", że widzimy w nim pierwiastki, któremi się trzyma środowiska, i przyczyny historyczne zwapnień jego duszy.

Autor dokonał w ten sposób egzekucji na całem środowisku, a więc i na czytelnikach, bo każdy ma w sobie coś z Podfilipskiego. I większy skutek osiągnął, niż gdyby czytelnika zraził brutalnością.

Istota rzeczy, jeśli chodzi o linję twórcy, leży w tem, że był to akt przezwyciężenia i wyzwolenia. Potrzeba słońca, prawdy i górnego lotu — to także nakaz dobrego smaku. Duszę odpycha płaskość, a tęsknota ciągnie ją do istotnych szczytów społeczeństwa, szczytów, które wyrastają z pasma wysokogórskich wysiłków historycznych narodu. Miłość „gromady", ideał prawdziwego „hetmaństwa" — to są skrzydła, które podrywają z nizin podfilipszczyzny.

Temi szlakami w górę poszła dusza Weyssenhoffa, a u szczytów swej kultury, gdy już wszystko, co ludzkie, przeżył, przygarnęła się do przyrody całą swoją poetycką tkliwością. Stąd przepiękne poematy, jak „Soból i panna", „Puszcza".

Wytworność smaku nie odtrąci tego „materjału", choć jest surowy. Tutaj już broń ironji nieużyteczna i nie wstyd szczerości uczuć, które płoną, pomimo że się je miarkuje w wyrazie. Glorję zawdzięcza artysta swojej poezji.

. . . .

Wracam do pytania na początku postawionego: czy żyje jeszcze Podfilipski? Żyje i prosperuje. W wieku dwudziestym doszedł do potęgi.

Już w r. 1905 spostrzegł się, że najbliższa przyszłość należy nie do Zbaraskich, lecz do jego strzelca raczej, Podfilipa, jak go nazwał lokaj Ligęzy. Ruleta była jego właściwym zawodem, czemużby więc nie zagrać i we własnym kraju. Nadeszły czasy niespodziane, że rozszerzyła się arena krajowa, w której przedtem nam było tak ciasno.

Pomogły mu, jako Podfilipowi, owe siły brutalne, które niegdyś maskował, gdy mu wypadło pozbawić chleba niemiłego Kołczanowicza, gdy z mściwym ruchem ręki, oznaczającym dławienie, postanowił zniszczyć byt swojej kochanki. Przyszedł bowiem czas na styl „bez skrupułu", kiedy nie trzeba już żenować się swojej pogardy dla narodu i tradycyj. Mając siłę, może każdego, kogo chce, mieć za sobą, nawet Zbaraskich i wymagać tego, aby wszyscy składali mu hołdy już nie w poufnym rękopisie, jak Ligęza, lecz jawnie, uroczyście w trybie obowiązującym.

Podfilipski żyje i prosperuje. Czy historja potraktuje ten okres z ironją? Zobaczymy.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NIEWĄTPLIWIE ŻYJEMY W DOBIE WIELKICH PRZEWROTÓW. Warunki tak się złożyły, że nie odczuwamy ich bezpośrednio, ponieważ we wszystkiem, co dotyczy dziedzin życia publicznego, wrażliwość mamy nierozwiniętą albo stępioną. Poczucie straty czy zmiany tylko tam jest możliwe, gdzie już do czegoś na dobre zdążyliśmy się przyzwyczaić, gdzie zrośliśmy się psychicznie z bliską nam rzeczą. Niezrośnięci z Konstytucją własną, tembardziej nieżyci jesteśmy z instytucjami międzynarodowemi. Zniknięcia Ligi Narodów z widowni realnej polityki europejskiej również nie zauważyliśmy. Zbyt mały udział braliśmy w polityce międzynarodowej, zbyt małe wiązaliśmy z Ligą nadzieje, żeby wziąć do serca tę zmianę i odczuć, że cudze przedsięwzięcie zbankrutowało. Liga nie jest już ta sama. Zabrakło instytucji, która w urzędowym języku dyplomacji europejskiej przez lat dziesięć była arką pokoju światowego. I nietylko w języku dyplomacji. W prasie i w opinji najstarszych państw europejskich, takich jak Francja lub Anglja, Ligę chętnie naogół popierano, jako centralną i wielce użyteczną instytucję międzynarodową. Żeby lepiej utrwalić to w umysłach, zastosowano na wielką skalę suggestjonowanie opinji słowem żywem i drukowanem. Chroniona sztucznie agitacją, poparta lekkim terrorem moralnym, Liga w żadnym momencie nie wyraziła w pełni prawdziwych tendencyj rozwojowych narodów europejskich, nie stała się ośrodkiem porozumiewawczym ich głębszego życia. W każdym razie, jako twór państw zachodnio-europejskich, zajęła pewne miejsce w ich myśli, i wyrażała niektóre przynajmniej tendencje polityczne, wynikające z ich położenia w dobie obecnej.

Z tamtej strony była to bądź co bądź pewna twórczość. My zaś w schemat tego dzieła weszliśmy prawie wyłącznie w roli tłumaczącego się ze swych postępków pionka. Trjumfem dla nas było już wyświetlenie na ekranie genewskim niezawsze aryjskiej sylwetki naszego ministra. Liga nie była doskonałym obrazem Europy, to pewna. Lecz my od lat pięciu zajęci byliśmy przedewszystkiem wycofywaniem się z Europy. Niezrośnięci psychicznie z Ligą, nawet w tej drobnej mierze, co narody zachodnio-europejskie, nie przejmujemy się wcale kryzysem, więcej: tragedją genewskiej instytucji, dzisiaj raniącą serca wielu jej wyznawców na Zachodzie. Nigdzie u nas nie podniósł się jeszcze żal z tego powodu. Nasi swojscy „przyjaciele Ligi", spóźnieni w imitowaniu przyjaźni, spóźniają się również (co naturalne) w imitacji współczucia.

WYPADKI OSTATNICH MIESIĘCY OKAZAŁY, jak niewzruszonym i podstawowym faktem jest w dalszym ciągu wszędzie tradycja suwerenności narodowej. Uwydatniło się jaskrawo, że przynależność do Ligi w najmniejszym stopniu nie osłabiła czujności państw na tym punkcie, i że wszelka polityka, jaką prowadzą, rozumna czy nie, jest w intencji jedynie polityką interesu narodowego. Śmiało można twierdzić, że propozycja francuska, złożona konferencji rozbrojeniowej, a wyrażająca gotowość oddania do

rozporządzenia Ligi Narodów pewnej liczby jednostek bojowych francuskich, podyktowana była interesom narodowym francuskim. Nie z innych względów poparły ją gorąco Jugosławja, Rumunja, i nawet kraj tak mało dziś europejski z zainteresowań swych i ducha urządzeń, jak Polska. Nie inaczej zrozumiały tę propozycję inne narody, które natychmiast potraktowały ideję francuską krytycznie. To tylko przykład pojedyńczy. Najbardziej przekonywającym dowodem, że interes narodowy góruje w polityce, jest okoliczność, że każdy potężniejszy nacjonalizm wytwarza swój internacjonalizm. Niema internacjonalizmu internacjonalnego. Tego świat jeszcze nie oglądał. Jest zaś bardzo konkretny, bardzo typowy i określonego charakteru, internacjonalizm angielski, amerykański, francuski, żydowski, rosyjski... Internacjonalizmom tym równie trudno dojść do porozumienia wzajemnego, jak nacjonalizmom. Kto brał udział choć w jednej konferencji międzynarodowej o charakterze pacyfistycznym, zna dobrze trudności, natychmiast wynikające z kontaktu między pacyfistami angielskimi i francuskimi, a będące skutkiem nietylko różnicy doktryn, ale też mnóstwa nałogów umysłowych, dzielących dwa powyższe narody.

NIE KONFLIKT INTERNACJONALIZMÓW JEDNAK wywołał obecne przesilenie Ligi Narodów, a nawet, rzec można, zniknięcie tej instytucji z powierzchni życia międzynarodowego, jako organizacji służącej do utrwalenia pokoju. Przyczyną bezpośrednią jest oczywiście konflikt chińsko-japoński. Teoretycy oraz różni „przyjaciele“ Ligi Narodów, studjujący jej możliwości, oddawna uznali, że próbą krytyczną wartości Ligi będzie dopiero konflikt, w którym weźmie udział należące do Ligi wielkie mocarstwo. Konflikt ten przyszedł w formie idealnie dogodnej. Wszczęła się walka między dwoma wielkiemi narodami, z których oba były w danym momencie członkami Rady, ale z których żaden nie należał do prawdziwych założycieli Ligi, żaden nie był też uwikłany w antagonizmach europejskich. W oczach entuzjasty statutu Ligi stwarzało to możność zgodnego zastosowania sankcyj statutowych w stosunku do napastnika przez poróżnione skądinąd między sobą wielkie narody europejskie. Wyjątkowa to wprost była okazja do wspólnego wystąpienia i utwierdzenia *prestige*'u Ligi — pod warunkiem, że przepisy statutu traktowało się, jako wiążące. Postępowanie takie ułatwione jeszcze byłoby stanowiskiem Ameryki. Ale mocarstwa europejskie nie okazały najmniejszej chęci do poniesienia ofiar, nakazanych statutem. Postanowienia jego w tej mierze, w momencie próby, uznano za nieobowiązujące w praktyce.

Zgodzono się, że Liga nie jest instytucją, mającą dać państwom bezpieczeństwo. Statutu nie zmieniono, ale sens lekcji, danej światu postępowaniem wielkich mocarstw w stosunku do Japonji, nie stał się przez to mniej wyraźny. I nikt nie ma prawa oczekiwać, żeby opinja reszty państw, wchodzących w skład Ligi, pouczenia nie wzięła pod uwagę i mniemała, że nic się nie zmieniło, bo statut Ligi pozostał bez zmiany... Tak się warunki dziejowe złożyły, że nigdy poważniej, niż w dobie konferencji rozbrojeniowej, nie brzmiał dla narodów nakaz, że zapewnić sobie bezpieczeństwo trzeba — wysiłkiem własnym.

NAUKA I LITERATURA

NOWA POWIEŚĆ KOSSOWSKIEGO

TEMATEM nowej powieści Jerzego Kossowskiego — „Szyb S. Nr. 4.“ (Warszawa, nakładem księgarni Gustawa Szylinga, str. 250) jest nafta, ściślej — życie ludzi, ocierających się o przemysł naftowy. Dla czytelnika polskiego wydaje sie rzeczą dość interesującą zestawienie tej książki z głośną „Naftą“ Uptona Sinclaira. Porównanie wypada na korzyść autora polskiego. Gdy bowiem Sinclair — w myśl doktryny socjalistycznej — zniwelował charaktery opisywanych przez się osób, wyznaczając im rolę bezdusznych śrubek w wielkiej maszynerji przemysłu nafcianego, a samą rzecz wygotował jako jakiś manifest socjalistyczny, proklamację, pełną inwektyw i argumentów agitacyjnych — Kossowski pokazał nam ludzi żywych, w ich smutkach i radościach, troskach zawodu, ludzi przy warsztatach — wraz z całem bogactwem ich wewnętrznogo życia, słowem — stworzył rzecz artystycznie dojrzalszą. Bliższą tedy — jeżeli już mowa o pewnych analogjach — jest książka Kossewskiego świetnej powieści powieści Gustawa Morcinka z życia górników śląskich — „Byli dwaj bracia“

„Szyb S. Nr. 4“ należy — podobnie jak powieść Morcinka — do tego typu regjonalnego (rzecz dzieje się w okolicach Krosna, w jednym z ośrodków przemysłu naftowego), który dzisiaj spełnia podwójnie chlubne zadanie: towarzyszy wysiłkowi odradzającego sie we wszystkich dziedzinach życia polskiego, informuje o wysiłkach tych ogół społeczeństwa i — związany z ziemią i regjonalnym obyczajem ludu — wnosi nowe wartości do literatury polskiej, tak ostatnio często usiłującej się umiędzynarodawiać. Piękny ten — jak widzimy — cel, poparty możliwościami bujnego, prawdziwego talentu autora „Zielonej Kadry“ — osiąga Kossowski rzetelnym wysiłkiem, torując sobie oddawna drogę do wyższych szczebli w hierarchji pisarskiej. Jego utwory — a przedewszystkiem omawiany tu „Szyb S. Nr. 4“ — cechuje bujność i świeżość młodości. Może to właśnie sprawia, że wita się je z sympatją i przepędza się przy ich lekturze czas — z przyjemnością. Dodajmy do tego interesującą fabułę, niesfałszowany koloryt miejsc i zdarzeń, o których pisze, potoczysty tok narracji, śmiałość kreślonego obrazu, sentyment i znajomość ludu — wówczas zrozumiałe będzie, dlaczego w Kossowskim widzimy nietylko sympatycznego, lecz i do wyższych rzeczy i dzieł predysponowanego pisarza.

W „Szybie S. Nr. 4“ tkwią te wszystkie możliwości. Powieść jest zajmująca i zasługuje na uwagę czytającego ogółu.

Książkę wydano bardzo starannie.

T. B. S.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W „Kurjerze Lwowskim“ od 21 stycznia do 13 lutego r. b. senator Z. Wasilewski ogłosił szkic historyczny pt. „Czasy lwowskie“, obejmujący lata 1886 — 1904, a poświęcony działalności stronnictwa D. N., przeważnie wydawniczej i dziennikarskiej, na terenie Warszawy i Lwowa. Szkic składa się z 12 rozdziałów, z których jeden jest autobiograficzny. Są tam zanotowane dzieje „Głosu“, „Teki“, „Ojczyzny“ i „Słowa Polskiego“ (1902 — 1904). Autor szerzej omówił współpracownictwo Popławskiego, Dmowskiego i Głąbińskiego.

*

Maciej Loret, znany historyk polski, od paru dziesiątków lat zamieszkały w Rzymie, wydał tam świeżo książkę p. t. „Italja Współczesna“ (Rzym 1932 r. Str. 259), której żaden z nakładców polskich, do których się autor zwracał, nie mógł podjąć się wydania w obecnem przesileniu księgarskiem. Jest to więc nowy wysiłek, nowa ofiara ze strony autora pięknego dzieła „Życie polskie w Rzymie w XVIII wieku“, także wydanego własnem staraniem. „Italję Współczesną“ pisał autor z myślą o przyjaciołach, Włochach

i o tych licznych Polakach, którzy Polskę i Italję łączą we wspólnym uścisku wielkich tradycyj, głębokich przeżyć i niezmiennego braterstwa. Książka składa się z następujących rozdziałów: 1) „Jak powstała Italja“; 2) „Italja a wojna“; 3) „Chaos powojenny“; 4) „Prądy społeczne i umysłowe“; 5) „Italja w opinji obcych“; 6) „Człowiek przełomu“; 7) „Ustrój państwa faszystowskiego“; 8) „Polityka zagraniczna i kolonjalna“; 9) „Polityka, ekonomiczna i finansowa“; 10) „Italja a Watykan“; 11) „Faszyzm a kultura fizyczna i umysłowa“; 12) „Prądy w najnowszej literaturze włoskiej“.

O tej interesującej książce napiszemy obszerniej w swoim czasie. (W. J.)

*

W „Bibljotece Kwartalnika Pedagogicznego“ ukazała się niedawno cenna i śmiała w swej konstrukcji myślowej praca Bogdana Suchodolskiego pt. „Idea postępu. Z zagadnień kultury współczesnej.“ Nie ominie tej broszury nikt, kogo zastanawiają formy ogólnego przesilenia intelektualnego, które ogarnia wszelkie dziedziny życia. Znajdzie na tych niewielu kartach dużo materjału do refleksji każdy, kto nie stroni od lektury poważniejszej. Z ciekawością śledząc subtelne wywody autora, uznamy chętnie, że cel publikacji został spełniony: jej treść, wyrosła z żywej, bliskiej aktualności pobudza do myślenia — to chyba dosyć.

Sygnalizując ukazanie się tej pracy, opatrzonej nazwiskiem o walorach ustalonych, nie możemy tu wywodzić szczegółowo dostatniego bogactwa obserwacyj i spostrzeżeń, które legły u podstaw rozprawy. Autor kreśli historyczny rozwój doktryny postępu, w syntetycznym i jakże zwartym skrócie ujmując jej węzły i ogniska na przestrzeni wieków, aż do dni naszych. Świat starożytny nie znał idei postępu: rozwijał teorję degradacji, sięgającej legend o złotym wieku i inną jeszcze koncepcję dziejów, układającą rzeczywistość w cykle rozwojowe. Idea postępu wywodzi się z pewnych przebiegów myślowych średniowiecza, kładzie na nią żywe akcenty renesans, ale dopiero oświecenie napełnia ją właściwą treścią: ulega ludzkość czarowi ciągłego rozwoju i doskonalenia, i całą rzeczywistość ujmuje odtąd w hierarchji rozwojowej (ewolucjonizm).

Czasy obecne przyniosły wyraźny zmierzch idei postępu: w naukach przyrodniczych ewolucjonizm zastąpił transforminizm, w naukach historycznych rozpowszechnił się pogląd, że epoki są indywidualnościami, „jak drzewa przy drodze, a nie jak szczeble drabiny“. W dziedzinie pojęć moralnych oprócz uznawanych dotychczas form rzeczy: natury i kultury, coraz bardziej wyłania się jakiś „byt tajemny, nieznany, cudzy“: „człowiek religijny wie, że poza naturą i kulturą jest Bóg.“ Przymierze głębokiego indywidualizmu z metafizyką zapowiada także zmierzch teorji postępu.

I oto „rozkładowi tradycyjnych dogmatów przeciwstawiona być musi nowa, choć nielękająca się pokrewieństwa z dawnością, młoda, choć świadoma i przemyślana, twórcza siła, porywająca jednostki do pełnego życia i ucząca je zarazem współżyć z sobą“. Taka jest treść rozważań dr. Suchodolskiego, ujęta linjami najbardziej grubemi. Pasjonujące zagadnienie, dyskutowane przez autora jasną i piękną prozą, zasługuje na gruntowne i skupione przemyślenie. Miło jest zastanowić się nad pierwszorzędną doniosłością rzeczy pod kierunkiem takiego właśnie przewodnika. (T. M.)

*

Czytelnicy „Sagi Forsytów“ i „Współczesnej Komedji“ („Biała małpa“, „Srebrna łyżka“ i „Łabędzi śpiew“) Galsworthy'ego, jednej z niewielu książek, które słusznie były w modzie, niewątpliwie z radością powitają dalszą serję przyczynków do historji rodu, „Na giełdzie Forsytów“ („*On Forsyte Change*“), wydaną ostatnio przez „Rój“. Jednakże można tylko częściowo zgodzić się ze zdaniem autora, wyrażonem w krótkiej przedmowie, że „niniejsze notaty mogą przyczynić się naprawdę do uzupełnienia kronik rodu Forsytów“. Cykl krótkich opowiadań uzupełnia tylko znakomicie obraz epoki, jaki dał Galsworthy w swej powieści, nie dodaje zaś nic do charakterystyki głównych osób działających, do obrazu ich duszy. Sądzę, że uważny i obdarzony czuciem czytelnik „Sagi“, zapytany jak jego zdaniem zachowałby się bohater tej powieści w jednej z przedstawionych sytuacyj, dałby tę samą odpowiedź, co autor w „Giełdzie Forsytów“. Trudno się też zgodzić z autorem, że miejsce owych opowieści jest między „Sagą“ a „Komedją“, bez „Sagi“ bowiem nie byłyby zrozumiałe, koniec zaś ich przypada przed początkiem „Komedji“. Soames, przedstawiony tutaj, to już Soames z „Białej małpy“, albo z „Łabędziego śpiewu“, Soames przeobrażony wraz z autorem samym w spokojnego i mimo wszystko imperjalistycznie nastrojonego angielskiego gentlemana. I dlatego ostatnia opowieść „Soames i sztandar“, to ostateczna synteza owej najbardziej ulubionej przez Galsworthy'ego postaci, a najpiękniejsze może z całego tomu opowiadanie „Krzyk pawia“, pisane z wybuchem szczerej i natchnionej poezji, nie byłoby zrozumiałe dla tych, którzy nie czytali „Komedji współczesnej“.

I nietylko dlatego pisze autor dalej o Forsytach, że, jak mówi, trudno się rozstać nagle i ostatecznie z tymi, z którymi obcowało się tyle czasu, ale także dlatego, że łatwiej mu porozumieć się z czytelnikiemi, z którym już nawiązał kontakt przez „Sagę“, łatwiej rozmawiać z kimś, kogo myśli i czucie nastroił już na swoją nutę i kto zna umowne skróty i znaki. Żmudna praca zdobywania czytelnika została dokonana, każde nazwisko, każda postać jest nam już znana, a że stanowią one niewyczerpaną kopalnię typów angielskich przedstawionej epoki i klasy społecznej, autor nie ma wprost potrzeby tworzyć nowych, by swe myśli i obserwacje przekazywać czytelnikowi.

Książka oczywiście największą wartość przedstawia dla tych, którzy czytali „Sagę“ i „Komedję“, przesuwając znów przed ich oczyma korowód tak dobrze znanych osób, wskrzeszając przeżyte wrażenia i dopełniając trochę obraz ogólny przez szczegółowszy rysunek pobocznych postaci pierwszego i drugiego pokolenia rodu. Jednakże nawet ci, którzy nie mogą się zdobyć na poznanie „Sagi“, powinni przeczytać „Na giełdzie Forsytów“, taką ożywczą, radosną falą prostej, mocnej moralności wydaje się ta książka w dość mętnem morzu współczesnej literatury. Postawienie ideału gentlemana, tkliwy i szacunku pełen stosunek do starości i tradycji, postawienie wysoko godności kobiety, a przytem ten poważny, a bezpośredni i szczery, pełen spokojnego, łagodnego humoru stosunek do człowieka, przedstawionego od strony dodatniej, a naprawdę żywego i bliskiego, wszystko to czyni książkę piękną i podnoszącą na duchu.

I znowu przekład — przekład bezmyślny i niedbały, który każe dzieciom wyrażać się patetycznym i napuszonym, pełnym przestawni stylem, szesnastoletniemu Jolyonowi nosić bokobrody, a Jerzemu przekładać „bezszumnie“ młotek na druga stronę. Przekład p. Tad. Ihnatowicza sprawia wrażenie profanacji. (A. M.)

*

W dynastji rynkowej „modnych“ pisarzów, po okresie panowania Londona, Wassermana i Zweiga, a potem Pitigrillego, zaczyna wyrabiać sobie miejsce sztandarowy działacz literacki komunistów amerykańskich, Upton Sinclair, tembardziej, że liczy się zapewne na mieszanie go z laureatem Nobla, Sinclairem Lewis'em. Rozpocząwszy jeszcze przed wojną od kampanji przeciwko korrupcji i nadużyciom amerykańskim, po najlepszych swych dziełach, jak „Jimmie Higgins“ i „Trzęsawisko“, pisanych jeszcze w okresie wojennym, z kolei on sam nadużywa łatwowierności licznych rzesz czytelników, roztaczając przed naszemi oczami, jaskrawemi barwami malowany obraz istnego piekła dantejskiego, które ma być współczesną Ameryką. U nas, jak rzekłem, wprowadza się Uptona Sonclaira jako nowość i rewelację i nigdy nie tłumaczono na polski tylu jego dzieł, jak teraz, kiedy jego karjera literacka jest właściwie skończona. Reklamuje się go usilnie, a nawet koła jego zwolenników starają się przedstawić go do nagrody Nobla, zbierając podpisy różnych znakomitości.

Jedno z ostatnich jego dzieł „*The Capital*“, którego tytuł przełożono jako „Stolica“, zatracając przez to drugie znaczenie angielskiego wyrazu (Kapitał), poświęcone jest wyłącznie opisom niesłychanych elestrawagancyj plutokracji amerykańskiej i ma odgrywać rolę ulotki agitacyjnej, podburzającej tłum do położenia kresu tej nowej Sodomie. Trzeba przyznać, że ulotka jest przydługa, bo zawsze ponad 200 stron sobie liczy, a także i dość kosztowna. U nas jej wydanie jest conajmniej zbędne, jako że w prawdziwość uczt po sto tysięcy dolarów, choćby były nawet rzeczywiście prawdziwe, nikt i tak nie uwierzy. Mimo to książka mogłaby mieć znaczenie jako współczesne bajki dla dorosłych w stylu przygód barona Münhausena, gdyby nie to, że jest beznadziejnie nudna. Pozbawiona prawie zupełnie fabuły, napisana nieporządnie i z pośpiechem, przypomina raczej roczne sprawozdanie kasowe klubu miljarderów w New Yorku i to sprawozdanie szczegółowe, z dokładnem wykazaniem każdej pozycji wraz ze wskazaniem wydatkowanej sumy. Dlatego książka nie jest niebezpieczna, choć pisana napozór spokojnie, a czasami jakby usilnie starająca się o objektywizm i obłudną litość dla nieszczęśliwych ofiar własnego bogactwa. Ten rzekomy objektywizm, a przytem pewna kultura wewnętrzna mogą jednak czynić wiele szkody czytelnikom innych, staranniejszych powieści Uptona Sinclaira, których dość spora ilość została już rzucona na rynek księgarski, w mniej lub więcej licznych tłumaczeniach. „Stolica“ przełożona jest bez skandalicznych błędów przez p. St. Standego, jednakże wyrażenia jak „współzawodnictwo koni“ *(horse competition)*, lub „orkiestra miedzianych instrumentów“, rażą. (A. M.)

*

Powieść Jean Webster „Właśnie Inka", wydana obecnie w polskim przekładzie (Wydaw. Polskie, Poznań) należy do typu bardzo popularnych w literaturze amerykańskiej utworów,osnutych na tle życia szkolnego tudzież internatowego. Rodzaj ten literacki może poszczycić się wieloma dziełami o wielkiej wartości pisarskiej, jak np. słynny „John Mildeton" Finna i niemniej poczytna „Mała Księżniczka". Franciszki Burnett (obie powieści zostały przełożone na język polski). W polskiej literaturze gałąź ta, zapoczątkowana ongiś „Niebieskim mundurkiem" Gomulickiego i „Płomyczkiem" mijewskiej, głównie zaś „Ewancypantkami" Prusa, znalazła po wojnie żywą kontynuację; dość wspomnieć „Bezgrzeszne lata" Makuszyńskiego. „Inka" nie należy do rzeczy celniejszych w tej dziedzinie, a jej nastrój i treść są polskiemu czytelnikowi dość obce. Myśli głębszej trudno szukać w tym utworze, a humor (humor, nie dowcip) też „nie bierze". Zasadniczemi kwestjami bywają takie naprzykład roztrząsania: „czy on wąsy fryzuje czy mu naturalnie tak rosną". Prawdziwy „gęsizm", jakby powiedział Nowaczyński. Najważniejszemi wypadkami w tej pensjonarskiej doli są różne tajne zmowy i eskapady — o podłożu romantycznem, ale kończące się prawie zawsze w duchu „świętej naiwności" i to dość materjalnie, np. zdobyciem placka cytrynowego. Jedyny „romans", jaki rozgrywa się „naprawdę", to dokonane przez pensjonarki skojarzenie nauczycielki, Miss Jellings, z panem Gilroy'em, no... i postanowienie samych bohaterek powieści, że po ukończeniu pensji też pójdą za przykładem swej nauczycielki, wyjdą za mąż. Fabuła błaha, na dobitkę pełna naciągań a czasem i sztuczności, jednakże powieść sama niepozbawiona pewnych zalet; jako przykład umysłowej „amerykanizacji" może nawet zasługiwać na uwagę, a w każdym razie ciekawsza jest niewątpliwie od „instytuckich" (Marijskij Instytut) powieścideł rosyjskich L. Czarskiej, tak skwapliwie i wytrwale rozpowszechnianych przez pewne księgarnie. „Inkę" czyta się gładko, dzięki nader starannemu przekładowi J. B. (zapewne Jerzego Bandrowskiego). Jedyną usterką jest używanie formy „Cycera" zamiast „Cycerona"; analogicznie powinnoby się chyba mówić: „Kata", „Naza", „Mara" zamiast: „Katona", „Nazona", „Marona". (B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Z powodu obchodu dwuchsetlecia urodzin Jerzego Waszyngtona pojawiło się, we Francji zwłaszcza, mnóstwo książek o nim, wśród których wyróżnia się, między innemi, książka pióra Bernarda Fay'a p. t. *„George Washington gentilhomme"*. W książce tej, na tle ówczesnych zdarzeń politycznych i historycznych, uwydatnia się dobrze poważna i rzetelna postać pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Do znanych powszechnie dziejów Waszyngtona, wojownika i męża stanu, autor dodał sporo faktów i wypadków z jego życia poufnego, mianowicie wierną miłość do żony swego przyjaciela, Georges-Williama Fairfax'a. Miłość platoniczna wprawdzie, ale zawsze rzucająca dość nieoczekiwane światło na Cyncynata z Mont-Vernon. (W. J.)

*

W wydawnictwie Herdera w Rzymie ukazała się książka: Pia Roi *„La guerra di successione di Spagna"*. Jest to ciekawe studjum, oparte na dokumentach Tajnego Archiwum Watykańskiego z wieku XVIII. (F. B.)

*

Odbicie haseł rewolucyjnych zaczyna coraz bardziej wchodzić do literatury w Hiszpanji, z czego oczywiście korzystają bardziej ruchliwi wydawcy. Ostatnio ukazała się książka pełna aktualnego humoru p. t. *„Paso al Rey"* (Z drogi przed królem). Napisał ją Antonio Pérez de Olaguer. (F. B.)

*

Jeden z najpoczytniejszych pisarzy hiszpańskich, humorysta Wenceslao Fernández Florez, napisał cztery utwory: *„Porqué te engana tu marido?"* (Dlaczego cię zdradza twój mąż?), *„Ella y la otra"* (Ona i inna), *„La seducida"* (Uwiedziona) i *„La caza de la mariposa"* (Polowanie motylka), wydając je pod wspólnym tytułem pierwszego z nich. Treść tych utworów, pomimo lekkiego, jowjalnego humoru, zawiera bardzo głębokie myśli, dotyczące zasad etycznych, co zresztą tu, jak w innych, licznych już książkach, które się ukazały dotychczas, jest cechą naturalną tego doskonałego obserwatora życia, jakim jest Fernández Florez. Czyta się je z prawdziwą rozkoszą, budzą bowiem, niezależnie od innych uczuć, wiarę i nadzieję. (F. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

Wystawa „Sztuki" zajęła cały gmach Instytu P. S. Nie jest ona właściwie jednolitą całością, gdyż składają się na nią dwa odrębne (pod wielu względami!) działy. Jeden: to olbrzymi zbiór dzieł Dunikowskiego z rozmaitych okresów jego twórczości, drugi — jest właśnie wystawą „Sztuki" zawierającą prace malarskie jej członków, coprawda nie wszystkich. Oba dzieli nietylko próg sali, ale — co ważniejsze — olbrzymia przepaść skali twórczej. I dlatego te dwie wystawy należy rozpatrywać i omawiać oddzielnie. Zaczniemy od „Sztuki" w cudzysłowie. Czytając w katalogu spis członków towarzystwa, zwłaszcza członków-założycieli, przerzucamy jakby najpiękniejsze karty historji naszej plastyki. Wyspiański, Malczewski, Chełmoński, Fałat, Wyczółkowski, Stanisławski... To historja. A teraźniejszość? Najwybitniejsi jakoś lekce sobie ważą zespół, do którego należą, z reguły niemal występując oddzielnie. Wyczółkowski wystawiał kolekcje swych prac w Zachęcie (teraz będzie w Instytucie). Pautsch zajmie kilka sal w Zachęcie w najbliższym czasie. Szczepkowski na „Sztuce" nie ma nic. Kędzierski i Weiss— rzeczy słabsze, niż na swych wystawach, urządzonych zazwyczaj także osobno.

Reszta jest dość wierna towarzystwu, zapewne we własnym dobrze zrozumianym interesie. Sugestjonując publiczność słowem „Sztuka", żyją w cieniu chwały swych wielkich poprzedników. Żyją na cudzy rachunek. Taki stan rzeczy ani wzrostowi samokrytycyzmu, ani, co za tem idzie, owocnym ambicjom twórczym, nie sprzyja. To też wystawa „Sztuki" (nie Dunikowskiego!) naogół robi wrażenie smutne i apatyczne. Tej sennej atmosfery nie jest w możności ożywić kilka dzieł wartościowych. Do nich należą prace: Borowskiego „Narkotyk", St. Borysowskiego „Most", portrety Olgi Boznańskiej. Pozatem Pautsch z Sichulskim coby nie zrobili, zawsze pokażą swój pazur.

Wszystko tonie w powodzi pejzażów.

O Dunikowskim i E. Trojanowskim (pierwsza wystawa zbiorowa po śmierci, o ile się nie mylę) napiszę oddzielnie.

*

Pięć stowarzyszeń artystycznych, powstałych na terenie Szkoły Sztuk Pięknych, a mianowicie: „Bractwo Św. Łukasza", „Ryt", „Szkoła Warszawska", „Forma" i grupa członków „Ładu" zrzeszyło się, tworząc związek stowarzyszeń pod nazwą „Cech Plastyków Warszawskich". Jak głosi statut (p. 3) celem związku jest: utrzymywanie pomiędzy stowarzyszeniami, należącemi do związku, stałej koleżeńskiej łączności, wzajemna pomoc i współdziałanie w zakresie artystycznym, oraz obrona interesów ideowych i zawodowych. Władzami Związku są: Rada Związku, składająca się z dwóch delegatów od każdego stowarzyszenia (razem 10) i Prezydjum Związku, w którego skład wchodzą prezes i dwaj członkowie prezydjum. Prezesem na rok bieżący został Wiktor Podoski („Ryt"), członkami prezydjum: Bolesław Cybis („Bractwo Św. Łukasza") i Lucjan Kintop („Ład").

Pierwszem wystąpieniem Związku nazewnątrz będzie wystawa, składająca się z najlepszych prac członków stowarzyszeń, a wybranych z całego okresu ich samodzielnej działalności. Nie trzeba dodawać,

iż tego rodzaju impreza przedstawi najbardziej wyraziście wartość czynu artystycznego młodego pokolenia, które na kształtowanie się oblicza naszej sztuki współczesnej wpływa decydująco. Ponieważ w tym samym mniej więcej czasie upływa 10 lat od chwili otwarcia Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, której uczniami byli wszyscy członkowie Związku, Związek postanowił swoją pierwszą wystawą uczcić jej dziesięciolecie.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

NOWA SZTUKA SIEDLECKIEGO

TEATR Polski wystawił krotochwilę Adama Grzymały Siedleckiego p. t. „Ich synowa“.

Rzecz się dzieje już po wojnie, ale jeszcze przed kryzysem, nietyle w Warszawie, ile w Warszawce, w ginącym podobno światku filistrów — kamieniczników.

Światek ów na scenie reprezentuje rodzina zamieszkująca dwunastopokojowy apartament, składająca się zaś z trzech osób.

Stanowią ją: 1) ramolowaty lowelas Jaś, który w przeciągu trzech aktów przepuszcza na baletnicę trzy kamienice, 2) żona jego, „*Ma Cherie*“, baba kompletnie zwarjowana na punkcie „dancingowania“ i 3) syn ich „Cacy“, dwudziestoparoletni pijak i karciarz, pozatem zaś kandydat na inżyniera.

Synalek ów, birbantując w jakiejś Oazie czy Adrji, zaręczył się tam z manikurzystką. Poznał ją wieczorem, rano zaś, przed powrotem z pijatyki do domu, wstąpił po drodze do kościoła i dał na zapowiedzi. Zjawia się u rodziców w porze pierwszego śniadania ze swoją wybranką i jej ciotką, właścicielką sklepiku spożywczego gdzieś na przedmieściu. Zdaje się — w Mokotowie.

Matka tego obiecującego chłopczyka marzyła o tem, żeby go ożenić. Wyborem jego jest uszczęśliwiona. Z początku stroi nieco fochów, niebawem jednak wpada w istny szał czułości zarówno względem przyszłej synowej, jakoteż względem jej ciotki.

W drugim akcie autor przenosi nas ze zbytkownie i niesmacznie urządzonego salonu burżuazyjnego do gabinetu modnej restauracji. „*Ma Cherie*“ zamęcza swoją synową tak zwanem życiem wielkoświatowem, w dzień — wizytami, w nocy zaś hulankami po dancingach. Żona „Cacego“ okazuje się dziewczyną z sercem i charakterem. Ku zmartwieniu rodziców wyciąga męża z knajpy i zaprzęga go do roboty. „Cacy“ nie będzie odtąd grał w karty i żył z pieniędzy ojca, lecz przygotuje się do egzaminu inżynierskiego i będzie zarabiał na chleb.

W akcie trzecim jesteśmy w mieszkaniu „Cacostwa“. Żyją przyzwoicie, jak postanowili. On w swoim gabinecie kreśli przy rajzbrecie, ona zajmuje się gospodarstwem i interesami, do których, jak się okazało, posiada duże zdolności. Opatrzność w nagrodę zsyła im błogosławieństwo: będą mieli dzieciątko. Tymczasem Jaś i „*Ma Cherie*“ przepuścili majątek do ostatniego grosza. Muszą opuścić dwunastopokojowy apartament i zamieszkać przy dzieciach. Wszyscy są *notabene* z tego rozwiązania sprawy uszczęśliwieni.

Taka jest w najogólniejszych zarysach treść krotochwili, obfitującej w efektowne sytuacje i w doskonałe dowcipy. Na kanwie farsowej Siedlecki z iście magnacką rozrzutnością wyhaftował szereg scen, które mogłyby stanowić atrakcję najcelniejszej komedji. Naprzykład moment, w którym „*Ma Cherie*“, dowiedziawszy się o bankructwie męża, pada na kolana i dziękuje Bogu za to, że utracjusz nie będzie mógł już hulać i trwonić majątku.

Wogóle w całej sztuce najciekawszą osobą jest postać tej rozwydrzonej histeryczki, której, jak wyznaje, wystarcza do szczęścia „kromka chleba i raz do roku wyjazd na Rivierę“.

Inne postaci, aczkolwiek żywe i narysowane dowcipnie, potraktował autor dość konwencjonalnie. Jasiów, Cacych, Ciocie i Jadwisie — widywaliśmy na scenie niejednokrotnie pod innemi imionami. „*Ma Cherie*“ jest typem świeżym, świetnie przez autora zaobserwowanym w życiu i po mistrzowsku przetworzonym artystycznie.

Rola ta dała okazję pani Przybyłko-Potockiej do ponownego olśnienia nas swym talentem. Sekundowali jej dzielnie pp. Stanisławski, Czaplińska, Modzelewska, Pawłowski i Krzewiński.

Publiczność przyjęła sztukę bardzo gorąco.

ZASTĘPCA

FILM

HOLLYWOOD: „Szyb L 23“ reż. L. Buczkowski. Kanapy nie było. Ułanów nie było. Sołdatów też. Ale nie było i tego, cośmy sobie obiecywali, sądząc z tytułu. Pan Marr trochę się usmarował, panna Orwid włożyła sukienkę bez dekoltu — i już mamy wierzyć, że to są robotnicy? Szczęśliwy fach. Cały dzień nic nie robią poza flirtem, a do pracy zabierają się tylko po to, aby sobie jako tako urozmaicić dzionek. No, ostatecznie i to by nas zainteresowało, gdybyśmy mogli wywęszyć coś w rodzaju logicznie rozwijającej się akcji (scenarjusz). Nic z tego. Nie doznajemy również najmniejszych emocyj wzrokowych, gdyż montaż filmu nuży monotonją. Także i aparat operatora okazał się dziwnie nieruchliwy. W pewnem miejscu, aby ożywić akcję, jeden z rywali (Dobosz), szlifierz w hucie, ściąga wazon kryształowy i daje w prezencie ukochanej. Bohaterka i obaj amanci zapomocą przeróżnych min starają się nam wmówić, że taki kryształ to straszna rzecz, my jednak nie wierzymy — debjutant może dostać za to najwyżej miesiąc z zawieszeniem na trzy lata. Poco więc zgrywać się, jakby chodziło conajmniej o uduszonego noworodka?

Za wszystko odpowiada reżyser, który pozwolił na te nadużycia mimiczne artystom o bardzo skromnych jeszcze możliwościach w tej dziedzinie. Zwłaszcza, że to są chwyty raczej teatralne.

Wbrew tradycji, film niema *happy-end*'u: panowie Dobosz i Marr wydostają się z płonącego szybu. A szkoda, bo przy jednym ogniu można było upiec dwie pieczenie.

Z panny Orwid może być dobra artystka, trzeba ją dać tylko w dobre ręce. P. Gawlikowski, stary wytrawny aktor, trzymał się sam w ryzach, nie oglądając się na reżysera.

*

ATLANTIC: „Rok 1914“, reż. H. Sza(pi)ro. Zalety filmu mieszczą się przeważnie w domenie technicznej: a więc piękne zdjęcia, starannie wybrane plenery, pozatem widoczny postęp w zakresie udźwiękowienia i też raczej w sensie technicznym, niż artystycznym. Głosy wychodzą czysto i wyraźnie. Trzeba przyznać, że i aktorzy nauczyli się mówić do mikrofonu. Wysiłki reżysera, korzystającego, jak widać, z wzorów zagranicznych, polegają na przebraniu materjału wizualnego i podawaniu go widzowi w dawkach i tempie, zmuszającem do smakowania rzeczy oglądanych. (Podobną zasadę zresztą stosuje współczesny kupiec: starannie wybiera i kładzie w oknie wystawowem trochę towaru, zamiast je zapychać). Tyczy to się zwłaszcza pierwszej części obrazu, gdzie ruchu w sensie tempa stosunkowo mało; zastępuje go ruchliwość ekranu, na którego płaszczyznę reżyser rzuca coraz to inny obraz. Ta część ma cechy pewnej dbałości o stronę artystyczną. Natomiast wszystko gubi scenarjusz ckliwy i banalny, usiłujący żerować na patrjotyźmie. Obiecują nam to „Rok 1914,“ to „Szyb,“ to to, to owo, a kończy się na jednem: para czuli się do siebie niemal od początku do końca taśmy. Teatralność naszych filmów polega między innemi i na nadużywaniu aktora jako tworzywa filmu. Zamiast stosować pomysły sytuacyjno-ruchowe, każą mu przeżywać.

„Rok 1914,“ a więc jakże może się obyć bez ulubionych kozaków? Poco obmawiać biednych żydków, że oni wojska nie lubią. Nieprawda, p. Szaro kocha się poprostu w szabli. Szabla, nahajka, stupajka, bałabajka „to strój i życie górala“. Pani Smosarska ma dwuch wielbicieli, a wojna jest po to, żeby to jeden, to drugi był przy niej. Wszystko się dzieje we dworze (naturalnie). Panienka ma brata, ale brat nie ma panienki, więc reżyser go ukatrupia w porę, aby się nie plątał, gdy siostra będzie się całować z narzeczonym w *happy-end*'zie.

Koncepcja ilustracji muzycznej dość prostotliwa, poczęstowano nas bigosem z przeróżnych piosenek. Obrazek — melodyjka, obrazek — melodyjka, obrazek — melodyjka.

Pan Kurnakowicz b. dobrze zagrał parobka. Pan Conti grał jak parobek, p. Bazyli Sikiewicz (oficer kozaków) ma twarz fotogeniczną, nerwową i wyrazistą. Jeszcze jedna uwaga: kobieta, przynajmniej w sztuce, powinna się kochać w tym, kto gra lepiej. Tak chce prawda artystyczna.

KANDYD

Czek na P. K. O. Nr 3105, dołączony do numeru niniejszego, przypomnieć ma Szan. odbiorcom „Myśli Narodowej“, że zbliża się termin regulowania przedpłaty na kwar. II.

OFENSYWA

KONIEC JEDNEGO Z KOHNÓW

KARJERA I HAUSSA tych konjukturalnych, sezonowych znakomitości literackich żydowskich, narzucanych kolejno całemu globowi trwa, jak to doświadczenie pokazuje, maksymalnie pięć, minimalnie trzy lata. Żeby taki literacki Jolson (Joelson) stawał potem na głowie i rzucał ludzkości w twarz arcydzieło po arcydziele, to mu już nic nie pomoże. Idzie na szmelc.

Coś podobnego dzieje się teraz z tym ekscepcjonalnie wrednym rekordzistą „psychografji" i beletrystyki historycznej, niejakim Emilem Ludwikiem Kohnem. Już jest to teraz literacki trup i żadna galwanizacja nic mu nie pomoże. Słyszeć o nim już nie chcą. Wnet będzie musiał zamykać fabrykę „portretów wielkich indywidualności", a potem sprzedadzą mu na licytacji willę nad Lago Maggiore, a potem przygarnie go do prasy z łaski dynastja berlińska Mosse („*Berliner-Tageblatt*").

Jakiś czas był ten Emil Ludwig bardzo modny i w Polsce. Po Erenburgu, po sezonie Erenburga, Emila Ludwiga tłumaczono na wyścigi. Wydawała jego towar firma „*Renaissance*" której szef, *quidam* Erdtracht zdaje się odpoczywa obecnie w kryminale. Książki Ludwiga rozchodziły się u nas jak zaraza. Entuzjazmowały się nim i superlatywowały go tak zwane Hulki, t. j. Hulka-Rzymowski, Hulka-Laskowski, Hulka-Pomirowski, Hulka-Wassercug, Hulka-Czachowski („Czas"), Hulka-Hulewicz i t. p.

Produkcja „*hochsztaplera*" historjozoficznego i liweranta masowej tandety dla półinteligencji powojennej miała i w Polsce duży odbyt i pokup. Ministry, pułkowniki i wojewody sanacyjne wprost kształciły się na „Lincolnie", przypuszczając początkowo, że jest to fabrykant znanych im samochodów. Premjer Sławek nocami zaczytywał się w „Napoleonie"; senator Wyrostek i poseł Burda studjowali poważnie „Bismarcka" natomiast prezes Dziadosz gustował raczej w „Wilhelmie". W każdym jednak razie dzieła Emila Ludwiga były tą lekturą przystępną naszej Elicie, przy której zapoznawała się z tajemnicami psychik i karjer europejskich „*prominents*". Często na biurkach naszych dygnitarzy podobno można było, obok stosów ukochanego „Kurjerka Dąbrowskiego", widzieć także i świeżo tłumaczony tom „nowego" Ludwiga.

Bezczelny „*Schnellbiograph*" potknął się dopiero na zuchwałem „*Meisterwerk*'u" p.t. „*Menschensohn*", w którem ośmielił się dać... „wizerunek" Chrystusa. Cynizm obskurnej szelmy tym razem zirytował już nawet wychrztów z *Weltblatt*'ów. Niemieckiego nie tyle Plutarcha co Plus-parcha z lodowatą sztywnością tym razem potraktowały nawet „*Vossische*" i „*Frankfurter*". Zdolny fejletonista polityczny szwajcarski, dziś głośny Ludwik Bauer (autor: „*Morgen wieder Krieg*"), (choć sam, zdaje się, też od naszych) w „*Tagebuch*'u" skarcił ordynarny nietakt i gruboskórność cienkiego stylisty. Nawet jego przyjaciel, słynny Albert Einstein ten wyskok o „*Menschensohn*'ie" jarmarcznego skryby i Wallace'a monografji historycznej zdefinjował surowo, mówiąc, że „*niemand kann mit Geistreichigkeiten das Christenthum abtun*" to znaczy — usunąć Chrześcijaństwo przez *l'esprit*, z pomocą dowcipu..

Dwa lata temu już, przeciw popularnemu szarlatanowi skierował cały akt oskarżycielski Niels Hausen („*Der Fall Ludwig*", Gerhard Stalling. Oldenburg), wykazując mu szwindle, szacherki, płytkość, snobizm, blagę, dętologję, wiatrologję, Brandesizm, fałsze, niedociągania, przeciągania, kokieterję, pyrotechnikę, *bluff*, no i psychiczny fetor.

Emil Ludwig Cohn, czując, że nadchodzi plajta a gwiazda pomyślności zachodzi, widząc, że już zaczynają go tropić i śledzić, już mu patrzą na palce, następują na pięty, a lada chwila każą zrobić odciski palców (daktyloskopja), postanowił konsumentów swoich czemś olśnić. Jazda tedy do Rzymu i przez rzymskich żydów do: „*Palazzo Venezia*": Mussolini. I nagle liberał, radykał, humanitarnik, pacyfilister pada plackiem przed „*Il Duce*" w żydowskim „*Berliner Tageblatt*". Efekt swój to robi. Reporterski rekord odały. Ale na krótko. Konsumcja wyrobów Ludwigoskich na rynkach księgarskich spada katastrofalnie. Emil Ludwig idzie tonnami, na kosze, do antykwarjatów.

W Niemczech już go żaden szanujący się inteligent nie bierze do ręki. W Polsce jeszcze jest modny i... instruktywny. Minister Jędrzejowicz zaczytuje się w „Chrystusie" koncepcji Kohna, „Goethego" studjują pp.: Burda i Hyla, „Lincolna" dla odmiany senator Wyrostek, a prezes Sławek tym razem zaczytuje się w „Wilhelmie".

Kiedy ostatnio wydał Emil Ludwig Kohn rodzaj autobiografji, gruby jak dynia tom o sobie samym, o swojem dzieciństwie, kiedy to był genjalnym bachorkiem no i kiedy już wreszcie przyznał się, wykrztusił, że jest takim sobie Kohnem, jednym z miljona Kohnów, żydki w *Weltblatt*'ach już z kompletną bezradnością starały się wszelkimi siłami z tego poronidła zrobić znów sezonową sensację. Pies z kulawą nogą nie chciał jej podnosić, żeby godnie uczcić ostatnie dzieło Wallace'a monografji monumentalnej. Ale bo też żydzina „genjalna" zgłupiała do cna na... młode lata, przedwcześnie. Dekonfitura ostatnich lat wpłynęła na mózg rozrzedzająco. W autobiografji są takie olśniewające kretynizmy:

„Zakochałem się w Napoleonie tylko dlatego, że lubił Chambertina „*Eau de Cologne*"...

„Filozofja nie przydaje mi się do niczego, jeszcze mniej religja"...

„Czytam ciężko i niechętnie, ale stenografuję szybciej, niż myślę"...

„Dzięki wojnie zrozumiałem Rembrandta, przez Rembrandta Jezusa, a przez Jezusa Lincolna"...

Stop! Wystarczy. Aforyzmy, a raczej aferyzmy, a raczej a-pfe-ryzmy godne i na poziomie takich naszych „szengajstów" jak Cezary Hirszband (Jellenta) jak Goldscheider (Goryński), jak Belmont (Blumenthal), jak Szyller (Szkolnik). I pomyśleć sobie, że o takim szachraju myślowym, o takim „łapserdakies" intelektualnym pisali u nas długie recenzje różne Hulki, a różne ministry i prezesy sanacyjne na tym Ludwigu poprostu się... kształciły... jemu zawdzięczają rudymenta swej „wiedzy o świecie", temu Cohnoskiemu *panopticum*, temu żydowskiemu... gabinetowi figur woskowych...

Ostatnio, aby jeszcze się ratować, obskurny Pluparch złożył wizytę w Kremlu. Cel? judzić Stalina na Polaków i Polskę i w imieniu „Niemców", zaprotestować czy zapobiedz zawarciu paktu nieagresji między Polską a Unją Republik Radzieckich. Wywiad Cohna ze Stalinem zamieścił pansemicki „*Berliner-Tageblatt*" ten sam, który niedawno dał ekstatyczny hymn pochwalny ku czci Pierwszej Brygady jako żelaznej ostoi ideowej supremacji żydów w Polsce.

Po tem wszystkiem, co się rzekło i wyjawiło, inteligencja polska powinna się jednak jednolicie do Emila Ludwiga ustosunkować, to znaczy „dzieła" jego, swego czasu nabywane, albo po staremu, po średniowiecznemu na stosie spalić, albo poprostu przez okna na ulicę na głowy przechodniów masowo wyrzucać. Od tej tandety powinny być i prywatne książnice polskie epurowane, wyczyszczone, wydenzyfekowane.

Przykład powinien dać Pan Sławek, lub któryś tam z tych marszałków czy ministrów. Za jego przykładem pójdą oczywiście te wszystkie takie Hulki: Laskowski, Rzymowski, Hulewicz, etc. etc.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Wychowanie państwowe. Podczas debaty w Senacie nad budżetem ministerjum oświecenia sanator historyk Zakrzewski mówił do ministra:

„Właśnie powiadałem
Jaśnie Panu, że młodzież zarażają szałem,
Ucząc ich głupstw...
I owszem uczyć dziejów, niech się młodzież dowie,
Co robili królowie, wielcy ministrowie.

— *C'est juste*...

— Właśnie mówię, widzi Pan Dobrodziej,
Że jest sposób wykładać dzieje i dla młodzi".

*

Program. Wizytator szkolny p. Stan. Kempf-Sokorski ogłosił w „Dzienniku Urzędowym Kuratorjum Okręgu Wołyńskiego" w nr. 11 z r. 1931 rozprawę p. t. „Święta i uroczystości szkolne". Czytamy tam:

„Pedagogowie sowieccy dobrze zrozumieli znaczenie świąt i uroczystości szkolnych i skrzętnie wykorzystują je jako czynnik wychowawczy. Mają też pokaźne rezultaty, bo stworzyli już sobie swego państwowca. Wszak tam w Sowietach dziś młode pokolenie nie rozumie już pokolenia starszego".

Ten przynajmniej powiedział, o co chodzi.

TREŚĆ: Władza dyktatorska ministra *P. Kowalskiego.* — O judofobji i zdrowej idei państwowej *K. R.* — Udoskonalenie ustroju społecznego *Z. Żółtowskiej-Dąbrowskiej.* — W mgle nieporozumień *St. Cywińskiego.* — Zagadnienie kina *Kandyda.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego* — Głosy. — Nauka i literatura („Nowa powieść Kossowskiego" *T. B. S.* i t. d.) — Ze świata sztuki *W. Podoskiego.* — Teatr *Zastępcy.* — Film *Kandyda.* — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.